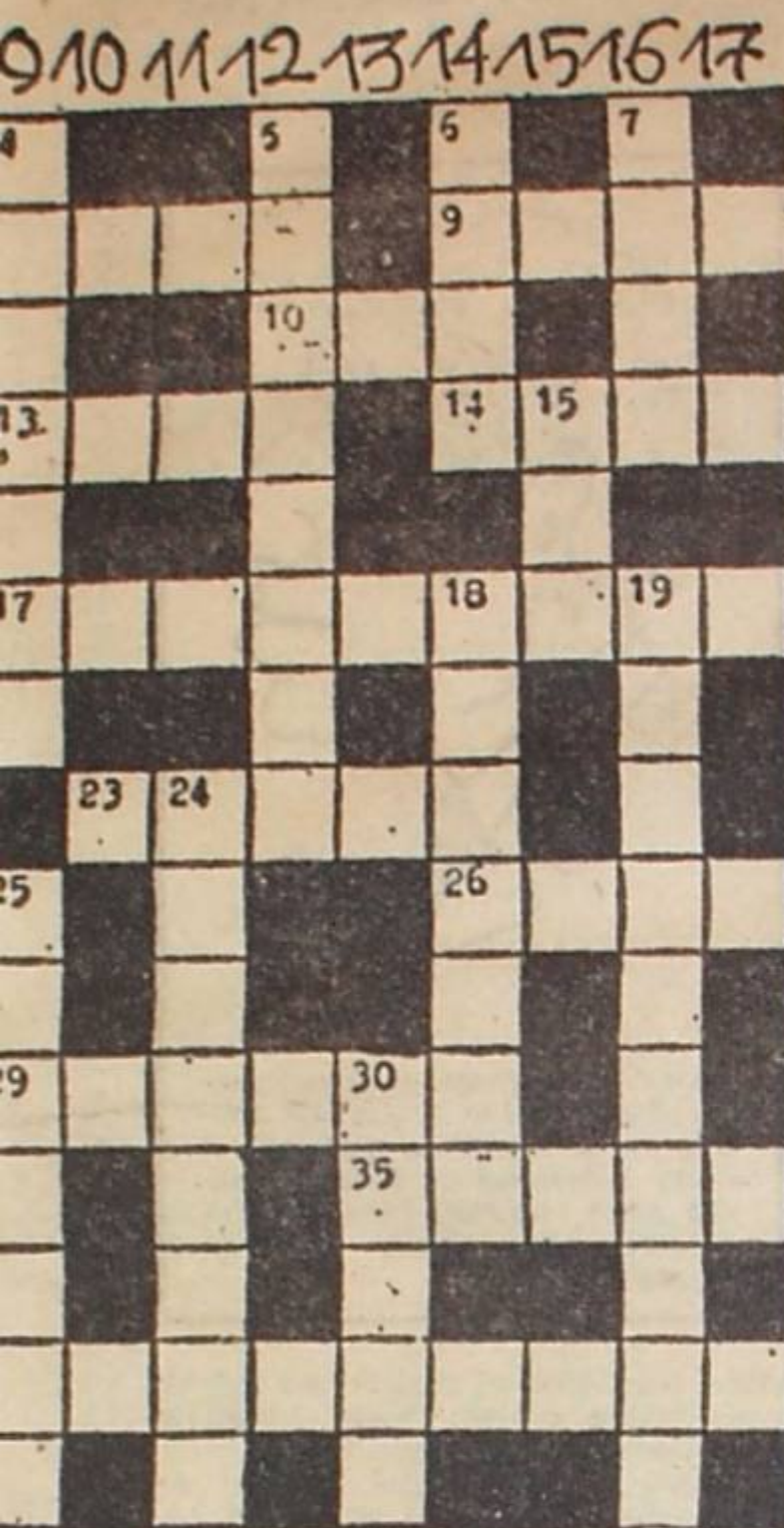


Kamena

NR 3 (823)

10 lutego 1985

CENA 10 ZŁ



PIĄTKOWSKIEGO DYMANIE U KRZYŻA - str. 11

Wampir grasuje w okolicach żeńskiego akademika

Janusz Ołczak

-WAMPIR grasuje w okolicach żeńskiego akademika. Podgląda dziewczęta — mówiła Benia z przejęciem, a ja nie mogłem tego słuchać bez śmiechu. Co roku pojawia się jakiś wampir, specjalista od historycznych studentek.

- Jaki znowu wampir?
- Podobno taki z wąsikiem.
- Widzę, że u dziewcząt dzieją się same ciekawe sprawy.
- On naprawdę grasuje. To musi być ktoś ze środowiska.
- Dlaczego musi? — spytałem. — Nie wyobrażam sobie na przykład waszego portiera w tej roli. Portiera, palacza czy któregoś z profesorów.
- Ale przecież oni mają braci, krewnych.
- Mają brata wampira? — śmiałem się. — Może brata kata? Tata ma brata kata, a zdzira wampira.
- Nietoperz mówiła, że ten twój Liszaj najbardziej wygląda jej na wampira.
- A czy ona wie, jak wygląda ten wasz wampir? Przecież go nie widziała.

- Zna go z opowiadań koleżanek.
- Może żadna z was go nie widziała?
- Co tam z tobą gadać, kpisz sobie tylko, jak zwykle!

— Liszaj jest bardzo poważnym człowiekiem. Wampir tak samo, skoro mówił, że są podobni do siebie. A więc Liszaj czy wampir powinni ci się podobać bardziej ode mnie, bo oni nie żartują.

— Posłuchaj lepiej i zrozum, co ja czuję — przerwała mi moja kochana Benia. — Jechałam wczoraj do koleżanki i czułam się tak, jakbym jechała do wampira. Naprzeciwko mnie siedział w autobusie jakiś miły staruszek, oglądał moje kolana. Prezentował się bardzo pocziwie, aż tu nagle wydało mi się, że to właśnie jest ten potwór. Mało tego. Wsiada na tym samym, co ja przystanku. Paniecznie dają, dyla, a on jakby chce gonić. Dwie dziewczyny przede mną też uciekają. W pobliżu akademika ten wampir wprost wisi w powietrzu.

Ciąg dalszy na str. 6-7

DEBIUT

Marta Sobczak

MAMĘ TRZEBA KOCHAĆ

Podaj mi rękę,
Jak będziesz spadał, to puszcze...
Popatrz na mnie!

Paznokciami żrenię ci wytuskam...
Nie zasłaniaj twarzy,
Nie płacz po kryjomu,
Nie mów źle o mamusi,
Nie krzycz gdy cię uderzę,
Nie wołaj pomocy,
Nie wykrzywiaj ust,
Nie patrz tak błagalnie.

MAMĘ TRZEBA SZANOWAĆ.
MAMĘ TRZEBA KOCHAĆ!

Więc kochaj, szanuj i ceń!
Więc ubóstwiaj i bij pokłony
Bo jak nie...



Usiądź mi na kolanach,
Usiądź, proszę.
Baby Jagi już nie ma,
Nie myśl teraz o tym.
O tak, o tak!
Teraz podaj rączkę,
Wykręć Ci paluszki,
Wydlubię Ci oczka.
Po co Ci takie niebieskie,
Niebieskie jak u dziewczynki?
Powinieneś mieć oczy nocny,
Powinieneś mieć dłonie rzeźbiarza.
Wykujesz wtedy białego konia.

Wykujesz wtedy bicz długi,
Wykujesz wtedy...
Usiądź mi na kolanach
Usiądź, proszę.
Ja jestem zaczarowana,
Opowiem Ci moją historię.
Usiądź maleńki,
Niebieskie oczka zamknij,
Postuchaj...
Dlaczego odchodzisz,
Czemu się mnie boisz?
Ja chora jestem,
Zaraz wezmę tabletkę
I w pasy mnie weźma.
I wtedy opowiem Ci na pewno
Historię mojego życia.

Pana Stasia przygody z pięściarstwem

Lucjan Olszewski

MOJ bokserki Czytelnik wie, kim jest bohater opowieści, zna go też cały Lublin i okolica, chociaż, być może, dla innego (niż sportowy) Czytelnika „Kamena” będzie to postać absolutnie nie znana. Proszę jednak, przeczytajcie; myślę, że warto.

* Pan Stasio jest wszędzie. Trzyma w rękę stoper, odmierzając mijające se-

kundy treningu. Podaje wodę, przemyma ochraniacz szczęki. Co chwila podchodzi to do jednego, to do drugiego zawodnika. Tego o coś zapyta, innemu opowie krótki dowcip, bo jakże podczas ciężkiej pracy opowiadać długie anegdoty. A byłoby co opowiadać, gdyby czasu starczyło.



Pan Stasio z galerią mistrzów olimpijskich z Tokio w 1964 r. Na stole masowany przez Zalewskiego Jerzy Kulej, obok stoi Józef Grudzień, z wąsikami Marian Kasprzyk. Takiej trójki asów już chyba się nie doczekamy...

Dokończenie na str. 10

Fot. Archiwum

Laureaci konkursu „Kamery” na wspomnienia

Rozstrzygnięty został konkurs na wspomnienia z okazji 40-lecia Polski Ludowej, ogłoszony w ub. r. przez redakcję „Kamery”. Napłynęło 65 prac. Jury w tym samym składzie, co jury w konkursie na reportaże (R. Dunin, M. A. Jaworski, M. Karczmarczuk, Z. Mańkowski, Z. Mikulski, M. Podgórski), obradujące jednak — na wniosek M. A. Jaworskiego — pod przewodnictwem prof. dr. Zygmunta Mańkowskiego, postanowiło po długiej dyskusji nie przyznawać pierwszej nagrody. Nagrodę drugą w wysokości 20 tysięcy zł otrzymał BOLESŁAW CHMURA ze Szczecina (godło „Pomorzanie”) za pracę pt. „Tu jest Polska”. Dwie nagrody trzecie po 15 tys. zł przyznano autorowi pracy pt. „Awans” (godło „Budowlaniec”) z Zamościa (autor prosił o nieujawnianie nazwiska) oraz CZESŁAWOWI LIPONODZE z Kołobrzegu za pracę pt. „Wspomnienia” (godło „Jeden od Berlinga”). Pięć wyróżnień po 8 tys. zł otrzymali: autor pracy pt. „A jednak się uczy” (godło „Słoneczko”), autor pracy pt. „Na papierze czy na kamieniu” (godło „Kwiatek”), KRYSZYNA DUBIK ze Swinoujścia (praca bez tytułu i bez godła), MARIAN GOLDYN z

Buska-Zdroju (praca bez tytułu i bez godła) oraz RYSZARD WNUK z Puław za pracę pt. „Pilem brudzia z marszałkiem Koniewem” (godło „Brown”).

Na konkurs nadesłano sześć prac, które z uwagi na swą objętość nie spełniały warunków regulaminu konkursowego, ale odznaczały się dużą wartością dokumentacyjną i autopsyjną. Spośród tych prac jury wybrało jedną do nagrody pozakonkursowej w wysokości 10 tys. zł. Otrzymał ją „Dokumentalista” za pracę pt. „Rok wielkich nadziei”. Po otwarciu koperty okazało się, że autorem jej jest IRENEUSZ CABAN.

Nagrody zostaną wysłane pocztą. Prosimy o podanie danych personalnych osób ukrywających się pod godłem „Słoneczko” i „Kwiatek”.

Dziękujemy za udział w konkursie, do autorów, w tym i autorów prac nie nagrodzonych, napiszemy, bo fragmenty niektórych pragniemy drukować w „Kamery”.

z notatnika

22 Stycznia

Ukazał się 1 (187) numer białostockich „Kontrastów”. W „Słowie do Czytelnika” redaktor naczelny, Kira Galezynska, pisze m.in.: „Obecny styczniowy numer „Kontrastów” jest ostatnim firmowanym przez zespół, którego nazwiska figurują w stopce. Zamyka się więc kolejny rozdział życia pisma — rozdział wyznaczony zawsze przez grupę publicystów wokół niego skupionych. Decyzja o zmianie formuły pisma — z ogólnopolskiego na regionalne została przyjęta na listopadowym plenum KW PZPR w Białymstoku...”

Słusznie stwierdza Kira Galezynska, że zamyka się kolejny rozdział pisma. Dodam, że trzeci. Kiedy „Kontrasty” powstały (plus minus) przed 19 laty były właśnie miesięcznikiem typowo regionalnym. Na szerokie wody wyprowadził je kolejny redaktor naczelny Klemens Krzyżagórski, ale z jego odejściem skończyła się pewna epoka. Formuła pisma zaproponowana przez Kire Galezynską, była już inna, aczkolwiek niekiedy również interesująca. Niemniej, jak sama stwierdza we wspomnianym „Słowie do Czytelnika”, pismo najwięcej zwrotów notowało w województwach: białostockim, suwalskim i łomżyńskim, czyli na własnym terenie. Nie mogę się więc dziwić stanowisku członków plenum KW PZPR w Białymstoku, którzy powzięli taką a nie inną decyzję. Ponieważ jednak „Kontrasty” lubię, nie chciałbym, aby przymiotnik „regionalne” był synonimem przymiotnika „zaściankowe”. I dlatego radziłbym nowemu kierownictwu „Kontrastów”, by skorzystało z bardzo cennego dorobku łomżyńskich „Kontaktów” i suwalskich „Krajobrazów”. No i żeby całkowicie nie rezygnowało z doświadczeń poprzedników. Sądzę, że nie nawołuję do połączenia ognia z wodą!

Powodzenia na nowej drodze! A Kire Galezynskiej — podziękowanie za włożony wysiłek.

29 Stycznia

We wrocławskich „Sprawach i Ludziach” mój ulubiony autor, Hieronim Orzeszek, pisze: „Jak się kolega Alfred Miodowicz szybko nie zreflektuje i porządnie nie wnerwi, to reporterzy telewizyjni pokazujący go przed pewnym czasem w Gdańsku, a ostatnio we Wrocławiu i Wałbrzychu, zrobią z niego takiego promienta albo innego wala, że się za żadne Chiny już nie pozbięra...”

Jest w tym coś!

Liga angielska

W ostatniej „kamenowej” prognozie nasz ekspert trafił 2 lutego br. Jednostki. Teraz (skrótowo) dla znawców tego typu na 9/10 lutego 1985: 1) IX, 2) X2, 3) I, 4) IX, 5) X2, 6) I, 7) I, 8) I, 9) IX, 10) IX, 11) I, 12) IX2, 13) I.

Typów na 16 lutego, jako że to piąta runda Pucharu Anglii, nasz ekspert podać nie może, bo, jak na razie, nie zna składu par.

kamery

2

Tymczasem w „Sztandarze Ludu” przed kilkoma dniami przeczytałem ostry tekst M. Kościńskiego. Przewodnicząca Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Pracowników WPHW w Lublinie, Kazimiera Krawczyk, jak mogła wymigiwała się od rozmowy. Ostatecznie, kiedy do spotkania przewodniczącej z dziennikarzem jednak doszło, prosiła, aby nie notować. Powiedziała wręcz: „Odmawiam panu wywiadu, bo na rozmowy nie zezwolił mi zarząd Związku, a ja się muszę liczyć z jego opinią...” Szanowna Pani Przewodnicząca — dodam — liczę się Pani, lepiej z opinią samych członków Związku, bo, przywołując na myśl słowa Hieronima Orzeszka, niedługo za żadne Chiny się Pani nie pozbięra!

30 Stycznia

Przypadkowa jazda taksówką i przypadkowa — jak zwykle bywa — rozmowa z kierowcą.

„Wie pan, zahaczył mnie niedawno facet, uszkodził samochód. Widzę, że facet jest na bańce, ale w miarę kulturalny. Niech pan — tak mówi do mnie — nie robi draki, dam panu pięć kół. No to wtedy ja do niego: — Pięć kół to może mi pan dać za to, że nie zawiadomie milicji. Stuknął mi pan wóz fest, dawaj pan dwadzieścia tysięcy i zgoda, inaczej wzywam MO. Popatrzył na mnie i powiedział: — No to pan wzywaj. Przyjechała MO, facet miał ileś tam promili przy okazji okazało się, że to dyrektor, dostał kolegium, lupnięto mu 15 tysięcy i na rok odebrano prawo jazdy. Co pan na to?”

„A ile kosztowała pana naprawa samochodu?”

„Niewiele się pomyliłem: 16 tysięcy. Oczywiście PZU zwróciło.”

Komentarz właściwie nie jest tu potrzebny. Dodam, że samochód trzeba było naprawiać, a samochód dla taksówkarza to wiadomo: — nie jeździ, nie zarabia na właściciela...

Panowie dyrektorzy, jak wypijecie, nie siadajcie za kierownicą, bo — pomijając wszystkie kataklizmy, które możecie spowodować — nie potraficie nawet uszanować taksówkarza, który okazuje się być człowiekiem!

A swoją drogą rok bez prawa jazdy to jest TO! Można schudnąć chodząc na piechotę.

3 Lutego

Odwiedził mnie wczoraj Staszek M., pytając już na wstępie: „Co tutaj jest grane? „Sztandar Ludu” dwukrotnie zaatakował ostatnio „Kamery” i to po oczach, w tym i ciebie osobiście; redakcja tak się odwzięca za twoje felietony na łamach tego dziennika w trudnym 1981 roku?”

Staszek M. jest człowiekiem starej daty i ciągle jeszcze sądzi, że każdy tekst krytyczny wydrukowany w piśmie nawołującym proletariuszy wszystkich krajów do łaczenia się musi zostać zaaprobowany przez wcale niemityczną GORĘ. Niemityczną, bo redakcja „Sz. L.” mieści się na PARTERZE Domu przy Al. Racławickich. Dlatego tym większe było jego zdumienie, kiedy w chwilę potem w Telewizyjnej Panorami Lubelskiej usłyszał ciepłe słowa pod adresem „Kamery” i pochwałę artykułu Lidii Wójcik pt. „Wielki grajdoł?”, który to

tekst został tak brutalnie potraktowany przez „Sz. L.” Dwa publikatory i dwie odmienne opinie. Wniosek: tekst, cokolwiek by się o nim mówiło, swą rolę spełnił, nie pozostał bez echa!

Wytaszczyłem na stół butelkę czerwonego wina „Cabernet” która obdarował mnie właśnie z okazji mego dwudziestolecia w „Kamery” sympatyczny dyrektor Bułgarskiego Ośrodka Kultury i Informacji w Warszawie, Ognian Todorow, i w przerwie między pierwszą a drugą lampką powiedzialem Staszewi M., w czym rzecz. Teraz ów wywód nieco rozszerze.

Otóż 19 stycznia br. odbyło się w Lublinie plenarne posiedzenie KW PZPR, w którym m.in. gościnnie uczestniczył prezes lubelskiego oddziału Stowarzyszenia Autorów Polskich, bezpartyjny Ireneusz J. Kamiński. Jako prezes — podkreślam — a nie jako pracownik „Kamery”.

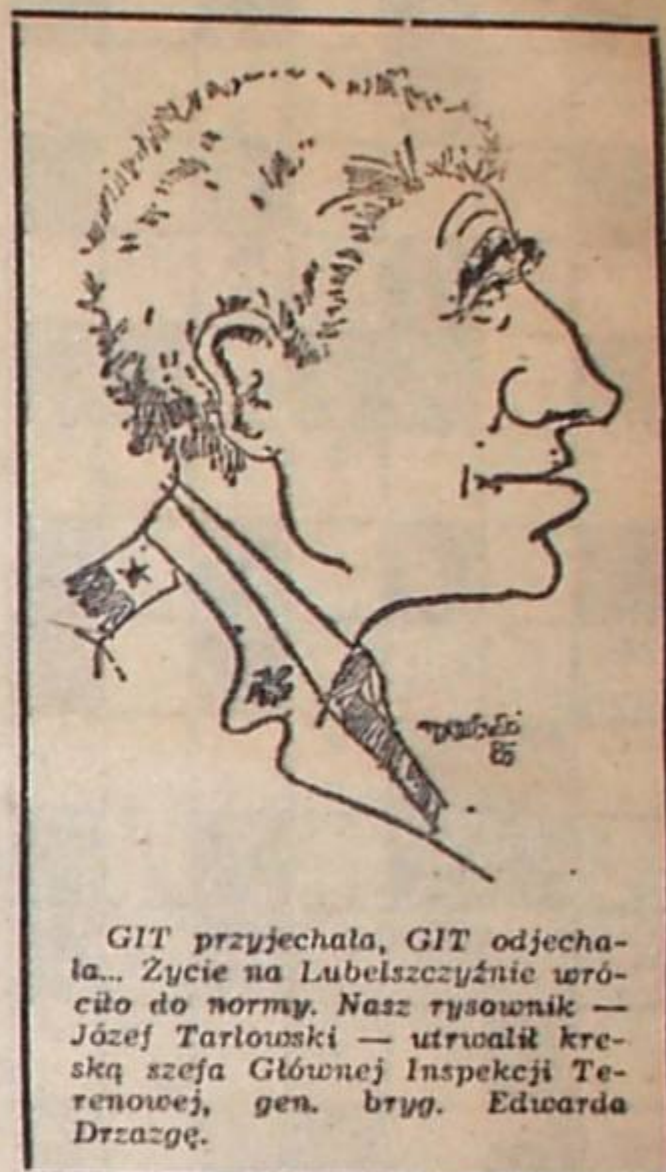
Tenże bezpartyjny I.J.K. zabrał (jako prezes! — podkreślam ponownie!) głos z trybuny, poświęcając kilka słów krytycznych i polityce, że tak rzeknę, kulturalnej „Sz. L.”. Jak powszechnie wiadomo, na publicystykę tego typu monopol w „Sz. L.” ma tow. Franciszek Piątkowski.

Franek był obecny na plenum, miał pełne prawo riposty na tej samej sali i z tej samej trybuny, chociaż przemawiał już przedtem. Nie uczynił jednak tego, odczekał kilka dni i wystrzelił ostro 25 stycznia drukując na łamach „Sz. L.” tekst, na który w bież. n-rze „Kamery” odpowiada mu I.J.K. (patrz str. 11: „Piątkowskiego dymanie u Krzyż”).

Alieci w tzw. międzyczasie ukazał się kolejny numer „Kamery”, w którym Lidia Wójcik w felietonowej formie ośmieliła się m.in. poddać krytyce niektóre dziedziny życia kulturalnego Lublina. Tekst swój zatytułowała „Wielki grajdoł” bez znaku zapytania. Znak zapytania dodałem już ja, ale jak widać, zupełnie niepotrzebnie, bo stylizyka kolejnego artykułu Franka zamieszczonego w „Sz. L.” z 1-3 lutego br. wystarczająco udowodniła, że nasze miasto bywa jednak grajdołem!

A tak na marginesie: Lidia Wójcik nieświadomie popełniła plagiat; już po wydrukowaniu jej tekstu spostrzegłem, że artykuł pod identycznym tytułem i bez znaku zapytania ukazał się we wrocławskim tygodniku „Sprawy i Ludzie” (16 stron dużego formatu, to jest pismo!) i dotyczył stolice Dolnego Śląska. Niestety, nie dociera do mnie wrocławskie „Gazeta Robotnicza”, trudno mi więc powiedzieć, czy tamtejszy Franek też tak pryncypialnie uderzył jak Franek lubelski...

Niemniej chcę w tym miejscu wyraźnie powiedzieć wszystkim zainteresowanym, że (moim zdaniem) nie ma żadnego sporu między „Sz. L.” a „Kamery” a jeśli jest spór, to tylko między Frankiem a „Kamery” i ludźmi z „Kamery” związanymi. Szyldło wyszło z worka właśnie w tym drugim artykule Franka, w którym on już nie dyma, ale pali na stosie wszystkich „twórców „Kamery””, nie zauważając nawet tego, że Lidia Wójcik, jak dotąd (jest tylko współpracowniczką pisma a nie jego pracowniczką (w „Tygodniku Powszechnym”) opublikowała tekst o teatrze w Gardzienicach odrzucony przez mnie), toteż może pisać wszędzie i nie musi odpowiadać na te wszystkie prokuratorskie pytania sztandarowego publicysty. Ja też odpowiadając na nie nie zamierzam: Franek ma zapewne więcej czasu niż ja, może powertować zsywką „Kamery” z okresu chociażby o-



GIT przyjechała, GIT odjechała... Życie na Lubelszczyźnie wróciło do normy. Nasz rysownik — Józef Tarłowski — utrwalił kreską szefa Głównej Inspekcji Terenowej, gen. bryg. Edwarda Drzazgę.

statnich lat pięciu i znaleźć tam (gdymy rzeczywiście chcieli) wiele tekstów podważających jego twierdzenia.

Ponieważ jednak „Sz. L.” nie do wszystkich czytelników „Kamery” dociera, zacytuje fragment Frankowej publicystyki dobitnie świadczącej o słownictwie Franka: „Dosunąć, dokopać i dołożyć obrzucić epitetem na pograniczu inwektywy nim rozpoczynający działalność recenzencką czy dziennikarską okrzepnie nim zacnie być krytyczny nie tylko wobec opisywanego przez siebie świata, ale także wobec samego siebie i swojego warsztatu — oto jest ta broń”. (Broń „Kamery” — uzupełnię). Myślę, Franku, że miałeś już dostatecznie wiele czasu, aby okrzepnąć i być krytyczny wobec samego siebie, niemniej chciałbym zapytać: a jaka jest ta Twoja broń? Dosunasz, dokopujesz i dokładasz Lidii Wójcik, usiłujesz robić z niej idiotkę (cytat i Twoja uwaga po nim: „to, p. Lidio, z Gombrowicza”), jakbyś nie wiedział (choć nie musisz), że robi ona wprawdzie doktorat z teatrologii, ale w prasie ciągle jeszcze debiutuje! (Inna rzecz, że dawno już nie spotkałem tak pracowitej i ambitnej debiutantki, o czym wkrótce i Ty, Franku, będziesz miał możliwość się przekonać! Trochę Eierpliwosci!).

Podobnie usiłujesz, Franku, dokopać Ireneuszowi J. Kamińskiemu krytykowi — co wielokrotnie w swym pierwszym tekście podkreślasz — „Kamery”. Pragnę Cię poinformować, że I.J.K. jest nie tylko krytykiem „Kamery”, kierownikiem jej działu ale również członkiem Rady Plastyki przy Ministrze Kultury i Sztuki członkiem Rady Programowej Centrum Sztuki Współczesnej w Zamku Ujazdowskim, przewodniczącym Rady Programowej Prezentacji Malarzy Krajów Socjalistycznych w Szczecinie Oczywiście wszystkich tych funkcji możesz nie znać i możesz nie szanować ale — jak widzisz — nie ściera się z Tobą ignorant! Autor — dodam — siedmiu pozycji książkowych, laureat wielu wartościowych nagród. Odróżnina szacunku więc nie zaszkodzi!

Dokończenie na str. 11

-ZASTANAWIAM się chwilami — mówi Stefan Stepień — co skłoniło mnie do pracy w związku. Przecież w tej robocie ja kariery nie zrobię...

Na szczęście w ten sposób nie rozmyśla zbyt często. Tak jak jego koledzy, nie ma na to czasu. Praca związkowa w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku pochłonięła go bez reszty.

— Nie marnujemy czasu — dodaje. — Dwa lata temu nasze warsztaty pełne były ludzkich rozterek i wątpliwości. Dzisiaj jest inaczej. Nastąpiło jakby odmrożenie...

Mimo optymizmu przewodniczącego Związku Zawodowego Pracowników WSK „PZL-Świdnik”, faktem pozostaje, że ponad połowa pracowników zakładu znajduje się wciąż poza związkiem. Owszem, nowe związki zasięgiem swoim obejmują cały zakład, ale...

Dla jednych związek jest „partyjny”... i nieważne, co pod tym pojęciem rozumieją, motywując swój brak zainteresowania nową organizacją. Inni, pytani o przynależność, wzruszają ramionami: — A co oni tam mogą?!

— Kto niepowiadał tych bredni o kominach płacowych? To bzdura! Owszem zdarza się — twierdzi Stepień — że pilot X zarobi 70 i więcej tysięcy złotych. Ale zawsze trzeba patrzeć, za jaki to jest okres! Badaliśmy płace w tej grupie niby-uprzywilejowanej i okazało się, że średni zarobek pilota mechanika nie przekracza 27 tysięcy złotych miesięcznie. Czy to jest dużo za ciężką pracę, z dala od rodziny, w oparach nawozów przez wiele miesięcy? Ci ludzie śpią pod chmurką, a reżimy zdrowotne są niezwykle surowe i niech się zdarzy, iż młody człowiek pójdzie w odstawkę, to z czego należą mu przyzwoita renta? Lekarskie komisje w lotnictwie są bardzo surowe i niech pamiętają o tym ci zazdrośni... Związek stoi również na stanowisku uregulowania problemu ubezpieczeń w grupie pilotów mechaników. To ważny problem. Mieśliśmy i u nas już wypadki śmiertelne, a co to znaczy obecnie 200 tysięcy odszkodowania, każdy wie. Tę sprawę także musimy rozegrać z myślą o ludziach.

Wiele dyskutuje się wśród pracowników WSK na temat dodatku kalorycznego dla pilotów mechaników, który wynosi ponad 4000 złotych miesięcznie.

Zbigniew Hurko zna te opinie. Jako przewodniczący związku zbiera gromy również za nieudolnych zwierzchników. Potwierdza, że oprócz płac mieszkania wywołują największe emocje. Najgorsze jest to, jego zdaniem, iż sprawa mieszkań rozstrzygła się w Lublinie.

— Chelmska komisja ustala listę przydziałów — mówi — a w Lublinie ważna pani z Oddziału Socjalnego WDOKP skreśla spokojnie daną osobę z listy, bo np. ktoś napisał donos... Był taki przypadek, chodziło o pracownika z Sekcji Budynków w Chełmie. Ludzie przychodzą do mnie i pytają: po co w Chełmie komisja, kiedy Lublin decyduje arbitralnie o wszystkim?!

Dyskutuje się i o podwyżkach. Spora grupa ludzi popiera rozwiązania proponowane w wariantach II i III, ale większość jest za tym, żeby zostało po staremu! Niektórzy rozmówcy nie wierzą w znaczenie konsultacji i możliwość wpływu na decyzje rządu w kwestii podwyżek.

— Mówi się tylko o podwyżkach kartkowych, a co z pozostałymi grupami towarów?

— Po co komu taka rekompensata? Co za nią kupimy?

Związki nie będą uszczęśliwiać ludzi na siłę

Zdzisław P. Karpiński

Padają i konkretne zarzuty. No, może bardziej konkretne. Mówi się często, że obecny związek w stosunku do administracji nie ma tej potrzebnej siły przebicia.

— Działamy w zupełnie innych warunkach — wyjaśnia Stepień. — Dzisiaj za związkiem stoi prawo, bo ustawa o związkach jest prawem. Owszem, wcześniejsze związki miały zapisy o niezależności, samorządności, ale wiadomo, jak to wykorzystywano. Centrala zbyt często dawała nakazy itd. „Solidarność” może była i bardziej dynamiczna, ale ta autentyczna, robotnicza, skończyła się na strukturach zakładowych. My obecnie nie musimy krzyżować o sukcesach. Nie wiskamy ludziom na siłę propagandy, a robimy, co do nas należy.

W świdnickiej WSK rzeczywiście nie ciągnie się do związków nikogo na siłę. Nawet odstąpiono od przyznawania świadczeń tuż po wstąpieniu do zakładowej organizacji. Teraz trzeba na nie poczekać rok.

W ubiegłym roku do instancji związkowej wpłynęło ponad dwa tysiące najróżniejszych spraw. Spraw ludzkich. Przeszło połowę z nich załatwiono na korzyść zgłaszających.

Problemem numer 1, nie tylko w WSK, są płace. O nowym systemie wynagradzania myślano w Świdniku od jesieni 1983 roku, kiedy dotarły tu stosowne propozycje resortowe. Opiniując je, związki jasno sprecyzowały granicę ustępstw, poniżej której w warunkach świdnickich zejść się nie da. W efekcie minister pracy i płac wycofał się ze swego projektu. Na szczęście, w zakładzie wyspecjalizowane służby pracowały nad własną koncepcją systemu, który jasno miał wskazać, na co liczą pracownicy.

Konsultacje potwierdziły słuszność założeń. Do całości materiałów przedstawionych załodze zastrzeżeń nie było. Wniesiono jedynie drobne poprawki, m.in. podnosząc kwotę dopłaty za pracę w godzinach nadliczbowych. Zmianie uległ również tzw. dodatek szkodliwy i podniesiono stawki w grupach pośrednio produkcyjnych. Powołana wkrótce Związkowa Komisja Ekonomiczna miała odpowiedzieć: czy system w takim kształcie (po doprawieniu) jest do zaakceptowania?

I w ten sposób od 1 lipca roku ubiegłego nowy system wynagrodzeń w WSK stał się faktem.

— System nie zadziałał jednak wobec wszystkich korzystnie. Były namacalne dowody, że np. pracownicy ze znacznym stażem pracy nie uzyskali istotnego postępu w przyroście płac. Nie tylko oni. Wiedząc o sytuacji, do tematu wrócimy i zlikwidowanie występujących tu i ówdzie dysproporcji stanie się celem naszych działań w 1985 roku.

Świdnicki system preferuje nowo przyjętych. Oczywiście, że nie budzi to entuzjazmu pracowników z dużym stażem pracy, kiedy młody człowiek ze średnim wykształceniem otrzymuje 8500 złotych podstawowej pensji miesięcznie, a po studiach 10 000 złotych... Cały system działa jednak w taki sposób, że nie ma możliwości płacenia po równo. Zresztą płacenie takie dało się we znaki nie tylko WSK, więc definitywnie odstąpiono od niego. Związkowcy stoją też na stanowisku różnicowania płacy zakresem świadczonej pracy, więc wszelkie protesty analizuje się od dokładnego przestudiowania roli danego pracownika w procesie tworzenia końcowego produktu.

lecz i tu związkowcy są przekonani, że ludziom tym należą się pieniądze.

No cóż, te oraz inne problemy pozwalają ocenić sytuację nowych związków w świdnickim zakładzie. Można powiedzieć, słuchając ludzi nim kierujących, że z dyrekcją stosunki układają się poprawnie, a i na dole sytuacja powoli się krystalizuje. Niespójny jest cały środek. Tam jeszcze ciągle wrze, nie zawsze widać podejście rzeczowe i gospodarskie. A przecież od kierownika, mistrza, brygadzysty zależy bardzo wiele, od atmosfery jaką wytworzą — w szczególności. Tam, gdzie jest ona dobra, są także wyniki produkcyjne.

Rejestrując statut, uzyskał w roku ubiegłym osobowość prawną samorząd Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku. Opinia szefa związku o współdziałaniu nie pozostawia złudzeń: — My się nie kłócimy i nie kochamy!



Rys. Zygmunt Pytlak

Wynika to czasem z nie zawsze zbieżnych interesów czy postaw wobec określonych problemów. Tak było również w sprawie „małej amnestii”. Inne stanowisko prezentowano na forum samorządu, a zupełnie odmienne w związku.

— Nikt do związku nie zwrócił się w sprawie zwolnień dyscyplinarnych ludzi za działalność po 13 grudnia... Mimo pomówień, podkreślam to raz jeszcze: nikt! Związek nie będzie uszczęśliwiał ludzi na siłę. Zresztą ocena nasza takich działań (i nie tylko nasza) jest jednoznaczna. Obecny status zakładu rozstrzyga te sprawy definitywnie, a wykreślenia tego typu karane są z całą surowością. Statut jednoznacznie określa przysługujące związkowi prawo do podjęcia akcji protestacyjnej, a federacja metalowców też stanowi pewną rękojmię praw naszych pracowników!

Związki zawodowe działające na kolei są w podobnej sytuacji prawnej. Mówi o tym przewodniczący Zbigniew Hurko z Węzła PKP w Chełmie.

Ludzie także mają swoje zdanie o związkach na kolei. Podkreślają zbyt małą operatywność, brak skutecznego oddziaływania na zwierzchników służbowych, którzy nie zawsze entuzjastycznie wypełniają powinności zawodowe.

W rozmowach pomiędzy pracownikami powtarzają się problemy nie uregulowane od lat.

— Panie, noclegi drużyn konduktorskich we Włodawie i Dorohusku to makabra. Nie tylko nie ma gdzie spać, ale wszędzie jest brud, brakuje podstawowych urządzeń socjalnych. To nie są warunki dla ludzi...

— Może pan załatwisz wodę w kasie towarowej na torach ogólnych? Inni tego nie zrobili, choć powinni!

— Mieszkania... Daje się, ale tym, którzy mają jeszcze całkiem żońne warunki, a tacy, którzy powinni otrzymać — nie dostają!

— Jak długo będziemy wyciągać do rządu ręce po towary dotowane? Niech wreszcie będą po cenach rentownych, ale my mamy możliwość zarobienia na nie...

Problemy pracownicze, z jakimi styka się związek zawodowy, są różne. Jak opinie o związku czy o podwyżkach cen. Przykład. Ot, nie tak dawno pracownica z Rejowca odmówiła wykonania polecenia służbowego. Zwierzchnik postanowił zwolnić ją dyscyplinarnie. Związek w swoim stanowisku, po zapoznaniu się z okolicznościami zdarzenia, wydał decyzję sprzeczną z intencjami zwierzchnika. Ten odwołał się ponownie i ponownie wynik był nie po jego myśli! Zwierzchnik nie wytrzymał i zaczął grozić, że wystąpi z partii, rzuci związek, a tak w ogóle kazał szukać kogoś na swoje miejsce.

— Albo ja, albo ona!
Związki nie uległy, stając na straży pracownika, który w określonej sytuacji miał prawo odmówić wykonania polecenia. Przełożony stwierdził, że nie ustanie w tej walce i swego dopnie...

Wacława Kmiecika — przewodniczącego NSZZ Pracowników Kombinatu Remontowo-Budowlanego Przemysłu Cementowego, Wapienniczego i Gipsowego w Wierzbicy Zakład w Chełmie — dosłownie wyciągam z narady, gdzie wraz z innymi przedstawicielami kierownictwa zakładu oraz organizacji społeczno-politycznych ustalał nowe grupy osobiste zaszerogowania. Zdenerwowany tłumaczy, że choć porozumienie jest, do ludzi trzeba podchodzić indywidualnie. A to nie takie łatwe zadanie.

Mówi też o działalności socjalnej, nawet z pewną dumą, gdyż w roku ubiegłym nie było pracownika, który nie otrzymałby wczasów, i dziecka, któremu nie zapewniono kolonii.

— Jak zostało 20 dzieciaków, to zjeździliśmy Polskę, ale one na kolonie pojechały.

Widać od pierwszej chwili, że związkowcy z chełmskiego zakładu KRBP CWIG postawili na działalność socjalną. W tym roku pewnie wrócą do zaniechanej formy zwrotu pieniędzy za bilet powrotny z wczasów.

To dzięki nowym związkom buduje się dwa budynki na 114 rodzin. Prawie wszyscy oczekujący na mieszkanie w zakładzie otrzymają własny kąt!

Rozmowa o mieszkaniach przypomniła Kmiecikowi zabawne wydarzenie, choć sprawa była poważna. Otóż trzeba było załatwić mieszkanie pracownikowi. Myślał Kmiecik i nie mu do głowy nie przychodziło, aż we śnie rozważanie przyszło samol! Pomaszzerował z dokumentami do ówczesnego prezydenta miasta Chełma, zapewnił, że kiedyś mieszkanie oddadzą ze swojej puli. L. prezydent przystał na ten układ!

To anegdotalne wydarzenie także charakteryzuje w jakiś sposób działania przewodniczącego. I chociaż kilka razy wspomina, że nie ma się czym chwalić, to jest zadowolony.

— Ludzie obecnie częściej do nas przychodzą.

W tym zakładzie od początku każdy mógł liczyć na związkową pomoc. Powstała dla ludzi mała betoniarńia, gdzie mogli wykonać dla siebie materiały do budowy garaży, domków na działce. Związek zatroszczył się o sprzęt i niezbędne surowce, a pracownik płacił tylko 50 procent aktualnych kosztów.

Można twierdzić o tej załodze, że jest stabilna. Przeszło 80 procent ludzi ma staż pracy powyżej lat 10, a to o czymś świadczy.

SIEDMNASZY września 1939 r. wypadł w niedzielę. Dzień zapowiadał się pięknie, góry, otaczające malowniczo położone nad Czeremoszem miasteczko Kutry, spowijały lekkie mgły, przez które przebiegała się ogromna, czerwona tarca wschodzącego słońca. Tak zapamiętał ów poranek jeden z pracowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które rozlokowało się w budynku miejscowego Sądu Grodzkiego.

[...] Małe domki przepelnione są po brzegi. Niewielka miejscina, nie przygotowana na taki napływ najazd — pisał w szereg lat później Władysław Pabóg-Maillowski we wspomnieniu „Na rumuńskim rozdrożu” — została szybko opolconą ze swych zapasów. Już w drugim dniu naszego pobytu brakowało chleba, nie było papierosów ani zapalek, w kawiarniach i cukierniach nie już poza wstrętą lurą nie można było zdobyć bawki, zaś swoją nazwą „pokoje do śniadań” — małe restauracyjki — wydawały już w ograniczonych ilościach tylko gotowane jarzyny lub kluski polne słoniną. W miejscie, zwłaszcza na rynku i w uliczkach wiodących do mostu granicznego, pełno aut różnego typu. Ludzie pomęczeni, niewyspani, zdenerwowani, żli — błędzi niespokojnym wzrokiem między niezachmurzonym niebem, skąd ciągle oczekiwano niemieckich nalotów, a leżącym tuż rumuńskim brzegiem Czeremoszu, oddychającym równo, spokojnie, bez ucisków tej przekiętej zmozy z powietrza...

Jeszcze nie tak dawno temu, przed niespełna trzema tygodniami, bawiącym tutaj letnikom i kuracjom zażywającym kąpiele w miejscowych solankach, Kutry wydawały się oazą spokoju. Miejscowością zgola niematerialną, zagubioną gdzieś bardzo daleko, u południowych granic Polski, wyabstrahowaną z istniejącej rzeczywistości. Dla przybyszów z centrum kraju była to ziemia malowniczych Huculów, tęsknych pieśni śpiewanych przy płonących nocą ogniskach, leśna kraina nabrzmiła echami tęsknego zawodzenia trombit... Teraz w prowizorycznych biurach MSZ klębiły się tłumy spoconych, wystraszonych ludzi, walczących o zagraniczny paszport, który dalszy im prawo do przekroczenia leżącego półtora kilometra od miasteczka pustego jeszcze i milczącego mostu na Czeremoszu. Za mostem leżała miejscowość Wyżnica i to już była Rumunia...

Niektórzy uważali, że należy wracać z powrotem, w głąb kraju, i tam stanąć do walki z najeźdźcą. Wśród nich był ambasador Lipski, który wypuszczony ostatecznie przez Niemców z Berlina po wybuchu wojny, dotarł okrężną drogą aż tutaj, do Kut, aby zdać prezydentowi Mościckiemu raport z ostatnich chwil swojej służby, ale iść na emigrację nie zamierzał. Tymczasem Niemcy wydawali się być doskonale poinformowani, po ścieżce na obszarach nad Czeremoszem i Prutem: 16 września w wieczornym dzienniku nadawanym przez radiostację we Wrocławiu i doskonale słyszalnym w Kutach niemiecki spiker w nieskazitelnym polszczyźnie podawał wiadomość, że prezydent Rzeczypospolitej przebywa w Sniatynie, minister Beck w Kutach, a marszałek Rydz-Smigły, wraz ze swoim sztabem, w Kolomyi. Dodawał, że władze polskie są już przygotowane do przekroczenia granicy z Rumunią... 17 września przed południem dotarła do Kut wiadomość, że o godzinie 5.40 rano zaczęły przekraczać wschodnią granicę wojska radzieckie.

Minister Beck urzędował od dwóch dni w niewielkiej piętrowej willi w Kutach Starych.

Tu właśnie 17 września o godzinie 16. rozpoczęła się ostatnia narada z udziałem Ignacego Mościckiego, Edwarda Rydza-Smigłego, Felicjana Sławojskiego i Józefa Becka. Ale teraz prezydent Rzeczypospolitej jest jeszcze w majątku Załuzce, blisko Sniatyna, około trzydziestu pięciu kilometrów w linii prostej na północny wschód od Kut. Szosa, przez Zabłotów, Kolomyję, Jabłonów, Pistryń i Końców — będzie ponad dwa razy tyle. Dopiero wczesnym popołudniem, chroniony przez towarzyszącą mu od początku wojny część tzw. kompanii zamkowej oraz grupę policjantów z posterunku w Sniatynie, Ignacy Mościcki przejedzie tych ostatnich 70-80 kilometrów polskiej szosy. Był bardzo blisko — wspominał później Sławoj-Skladkowski — wyczerpany długą trwającą waleczną, ale mimo ciężkiej sytuacji politycznej zachował jasny pogląd na sprawę, spokój i opanowanie. Na kwatery wieża Becka w Kutach, gdzie przygotowywałmy Orodzie, Prezydent powiedział: „To już jasne, że idziemy na wieść! Ale innego wyjścia nie widzę: walczyć nie mamy czym, a poddać się nie możemy.”

Czy były to tylko pełne goryczy słowa z powodu uświadomienia sobie

ostatecznej przegranej? Czy takie przeczucie serii wydarzeń, które miały się rozpocząć już następnego dnia, na rumuńskiej ziemi, w pałacu arcybiskupim w Czerniowcach, gdy jasnym się stało, że z „droit de passage” — prawa przejścia prezydenta wraz z rządem do Francji, chyba nic nie wyjdzie? Gdy Rumuni wręcz zażądali, aby rzekł się swego urzędu?

Sprawa ewentualnego przeniesienia naczelnych władz polskich — to znaczy prezydenta oraz rządu — do Francji ciągnęła się już od 9 września. Wtedy to, jeszcze w Krzemieńcu, gdzie u stóp Góry Królowej Bony, w gmachu liceum nauczycielskiego (dawnego słynnego Liceum Krzemienieckiego, w którym studiował m.in. Juliusz Słowacki) rozmięściło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych (gdzie także rezydowała część uszłego z Warszawy korpusu dyplomatycznego) — ambasador francuski, Léon Noël, zasugerował podczas spotkania z wiceministrem Szembekiem rozważenie takiej właśnie ewentualności. W dwa dni później, 11 września, poruszono tę sprawę znowu w czasie spotkania ministra Józefa Becka z ambasadorem Noëlem. W wydanych po wojnie — także u nas — wspomnieniach Noël wyraża się o całej tej sprawie nader powściągliwie i oględnie. Natomiast relacjonuje ją sam Beck w swych wspomnieniach, a ostat-

nio, w 1982 r., wraca do niej dość obszernie Jan Meysztowicz w opublikowanym na łamach „Za i przeciw” cyklu wspomnieniowym — „Wrzesień 1939”.

Meysztowicz był przed wojną pracownikiem P-B-Wydziału Zachodniego MSZ. Po wybuchu wojny, 2 września, skierowany został do Referatu Szyfrów, a w trzy dni później awansował na kierownika Referatu Szyfrów Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Kierował pracą radiostacji MSZ w Brześciu, a po zombardowaniu miasta 8 września przeniósł się z radiostacją do Krzemienia, gdzie zresztą (od 8 września) działała zainstalowana na Górze Królowej Bony inna radiostacja ministerstwa. Dzięki tym krótkofalówkom Beck miał łączność z krótkofalówkami polskich ambasad w najważniejszych stolicach Europy zachodniej. Meysztowicz, jako zdolny, rękujący nadzieje młody pracownik MSZ a teraz dodatkowo człowiek zajmujący się szyfrowaniem i rozszyfrowywaniem depeš, miał dostęp — mimo niezbyt wysokiej funkcji — do najbliższego otoczenia ministra Becka. Musiał więc także wiele wiedzieć o rozmowach prowadzonych między Beckiem a Leonem Noëlem, a także — ambasadorem brytyjskim Kennardem.

W Krzemieńcu miano 11 września przywoływać na pamięć sprawę „precedensu belgijskiego” z 1914 r., kiedy to rząd belgijski musiał opuścić terytorium swojego państwa i spoza granic prowadził dalej walkę z Niemcami. Francja miałyby więc udzielić polskim władzom prawa pobytu i działania na jej terenie — „droit de residence”. W ten sposób — mimo zajęcia kraju przez Niemców — ciągłość polskich rządów byłaby zachowana i Polska nadal zachowywałaby swoją obecność na arenie międzynarodowej, dalej prowadząc „u boku sojuszników” walkę z najeźdźcą.

Ale przedtem należało załatwić „droit de passage” z Rumunami: prawo przejścia głowy państwa oraz rządu polskiego przez terytorium Rumunii zaprzyjaźnionej, związanej sojuszem — wprowadzie tylko częściowym — z Polską. To właśnie ambasador brytyjski Kennard miał podobno rzucić myśl, aby po przejeździe przez Rumunię władze polskie zostały zaokrętowane w jednym z portów Morza Czarnego — najpewniej w Constanzy — na wojenną jednostkę francuską lub brytyjską. Inny autor twierdzi, że ambasador Kennard został tylko powiadomiony o sposobie ewentualnego transportu polskich władz do Francji, wraz z prośbą, aby zapoznać z tym projektem swój rząd. Głównie bowiem rozmawiano z Noëlem.

Za podstawę do rozmów z Rumunami o „droit de passage” brano konwencję haską z 1907 r. Dopuszczala ona przejazd najwyższych władz państwowych przez terytorium kraju neutralnego — a takim była Rumunia — ale też bardzo wyraźnie zabraniała „transzytu wszelkich elementów wojskowych”, a nawet nakazywała ich rozbrojenie i internowanie na ogólnych zasadach prawa międzynarodowego. Nie podlegały „droit de passage” osoby wojskowe „w czynnej służbie”, a więc, w konkretnym polskim przypadku z września 1939 r., przede wszystkim — marszałek Rydz-Smigły wraz ze swoim sztabem,

ale o tym 17 września w Kutach niekiedy jakby nie pamiętali, czy nie chcieli pamiętać...

W ogóle zresztą problem opuszczenia Polski przez rząd i prezydenta był dla najwyższych postawionych polskich osobistości — dla Ignacego Mościckiego i Rydza-Smigłego — rzeczą podejmowaną nad wyraz niechętnie i jakby oduwana, czy też spychana w przyszłość.

Sprawa konkretnej rozmowy na temat „droit de passage” wyplętnęła dopiero w sobotę, 16 września, kiedy Ministerstwo Spraw Zagranicznych urzędowało już w Kutach. Tylko, że w sobotę ambasadora Grigorcea w Kutach nie było, przebywał tego dnia po stronie rumuńskiej, wezwany przez swoje władze. Wrócił następnego dnia, 17 września, i w rozmowie z Beckiem „zaofiarował w imieniu króla dla prezydenta i rządu polskiego „l'hospitalité” (gościnę) lub „droit de passage”. Po telefonicznej rozmowie z ministrem spraw zagranicznych Rumunii, Gafencu, Grigorcea jeszcze raz potwierdził po południu swoje zapewnienia. Co do ambasadora francuskiego, to — jak wspomina Meysztowicz — Noël nie potwierdził zgody rządu francuskiego (na „droit de residence” — M.D.), ale oświadczył, że przyczyną braku potwierdzenia jest wyłącznie brak łączności, i że uważa pozytywną decyzję w tej sprawie za pewną. [...] Kennard ze swej strony podzielał opinię, że odwrót prezydenta i rządu do sprzymierzonego kraju jest koniecznością.

Ostatnia podróż prezydenta Mościckiego (3)

Powrotu nie było...

Mirosław Derecki

Chyba w godzinach południowych, kiedy w Kosowie odbywało się posiedzenie rady ministrów, na którym obecny był także Rydz-Smigły, odnalazł wreszcie Naczelnego Wodza poszukujący go od szeregu dni Władysław Sikorski. Odnalazł, ale nie dotarł do niego: zastępca sztabu Smigłego, pułkownik Józef Jaklicz, przekazał prośbę generała o umożliwienie „zameldowania się” u marszałka, Rydz-Smigły polecił mu jednak odpowiedzieć, że... marszałek rad jest bardzo ze złością się gen. Sikorskiego, jednak w obecnych okolicznościach żadnej funkcji wyznaczyc mu nie może. Nie może nawet z nim pomówić, ponieważ trwa posiedzenie rady ministrów. Natomiast chętnie z nim pomówi po przekroczeniu granicy, w Rumunii. (Cyt. za Romanem Wapińskim — „Władysław Sikorski”, W-wa 1982. — M.D.).

O godzinie 16. w willi zajmowanej w Kutach Starych przez ministra Becka rozpoczęła się wspomniana już na początku ostatnia narada z udziałem Mościckiego, Becka, Rydza-Smigłego oraz Składkowskiego. Skupiono się na sprawach najbardziej zasadniczych. Między innymi Rydz-Smigły, oceniając sytuację, scharakteryzował ją jako „beznadziejną”. Zgodził się z zdaniem, że za granicę przechodzi cały rząd, a nie — jak początkowo zastanawiano się — część jego pozostaje w kraju, przy marszałku. A ścisłając na pożegnaniu dłoń Mościckiego, powiedział: „A więc, Panie Prezydencie, jak umówiliśmy się, ja pozostaję z wojskami...”

Niestety, w kilka godzin później, Wódz Naczelny, zmienił zdanie...

Podczas ostatniej narady prezydent Mościcki podpisał także swoją ostatnią oświadczenia do narodu. (Tekst oświadczenia opracował kierownik kancelarii cywilnej, prezydenta, min. Lepkowski).

[...] Polska sprzymierzona z Francją i Wielką Brytanią walczy o prawo przeciwko bezprawiu, o wiarę i cywilizację przeciwko barbarzyństwu, o dobro przeciwko złu na świecie. Z walki tej musimy i wyjdziemy zwycięsko. Musimy uchronić uosobienie Rzeczypospolitej. Dlatego, choć z ciężkim sercem, postanowiliśmy przenieść siedzibę organów państwowych w takie miejsce, gdzie istnieć będą warunki zapewniające im wszelką suwerenność i spokój działania. Obywatelu! Wiem, że mimo najcięższych przejść zachowaliśmy hart ducha, godność i dumę. Na

każdego z Was spada dził obowiązek czuwania nad honorem narodu. Opaczność wymierzy nam sprawiedliwość...

A tymczasem tego samego dnia w obłożonej Warszawie ormai nie doszło do niezwykłego, brzemiennego w skutki, wydarzenia. Oto mniej więcej w tym czasie, gdy prezydent Mościcki kładł podpis pod swoim oświadczeniem, podpulkownik doc. dr Waclaw Lipiński, historyk, szef propagandy Dowództwa Obrony Warszawy — przed wybuchem wojny dyrektor Instytutu Józefa Piłsudskiego i kustosz Belwederu — ściśle współpracujący przez cały czas oblężenia z warszawską rozgłośnią radiową (za której pośrednictwem prawie codziennie wygłaszał gorące, patriotyczne przemówienia) dowiedział się przypadkowo, że na godzinę 20. w siedzibie Dowództwa armii „Warszawa” wyznaczono posiedzenie... konstytucyjne mające powołać nowy rząd Rzeczypospolitej Bo... „rząd ucieki z kraju”!!! Wiadomość o ucieczce rządu była zupełnie niezgodna z prawdą, oparta na zagranicznych audycjach radiowych odebranych z eteru przez wojskowy nasłuch radiowy.

Lipiński zareagował błyskawicznie. Słagaln telefonicznie prezydenta Warszawy, Stefana Starzyńskiego, i razem pojechali samochodem poprzec miasto — przy wtórze rozrywających się nieprzyjacielskich pocisków oraz przekleństw miotanych przez Starzyńskiego — do siedziby generała Rómmla. Na Rakowieckiej byli po rodzinie 19. Tylko

dzięki sile perswazyi Lipińskiego i Starzyńskiego, ich opanowaniu, a także rozważności generała, sprawa została „rozmyta”, do zebrania konstytucyjnego nie doszło. Rómml ograniczył się do powołania Komitetu Obywatelskiego. W projektowanym rządzie generał Rómml miał objąć stanowisko premiera oraz tekę ministra spraw wojskowych, książe Zdzisław Lubomirski — tekę ministra spraw zagranicznych. W skład rządu miał wchodzić m.in. także Niedziałkowski, Zaremba, senator Evert...

W najbardziej nabrzmiałym momencie owej rozmowy — perswazyi, jeden z oficerów sztabowych rzucił beztrosko: „Co się patyczkować, rząd uciekł, to zrobić drugi, sprawa załatwiona...”

Tekst oświadczenia prezydenta Mościckiego został nadany drogą radiową, wieczorem 17 września, z Kut — najprawdopodobniej przez radiostację krótkofalową Ministerstwa Spraw Zagranicznych albo jedną z krótkofalówek wojskowych. Nie ma jednak potwierdzenia, że ktokolwiek ową misję odebrał. Radiostacja warszawska poznała treść oświadczenia dopiero następnego dnia, późnym wieczorem, z nasłuchu BBC z Londynu. Zagranica dysponowała tekstem przekazanym 18 września, telegraficznie, przez polskiego konsula w Czerniowcach, Buynowskiego. Tem właśnie fakt miał wkrótce posłużyć Rumunom za powód internowania rządu polskiego, który jakoby naruszył w ten sposób jej neutralność... Ale to było dnia następnego...

18 września, w godzinach wieczornych, Rumusyna prezydenta Ignacego Mościckiego przejechała most graniczny na Czeremoszu, Prezydentowi towarzyszył rumuński ambasador w Polsce, Grigorca. Noc z 17 na 18 września była ciemna, bezgwiezdna i zimna — pierwsza taka noc w tym miesiącu. Kropił drobny deszcz.

W poniedziałek, 18 września, przebywająca w Jeleńcu, podwarszawskim majątku, Zofia Nalkowska, zanotowała w swoim dzienniku:

Już przestali przewlekać tłumy uchodźców. Ci, co się zatrzymali, siedzą. I wystrzały dochodzą głucho z odalenia, na niebie nie widać samolotów. Ale radio, zle i skrzeczecze, rzadko słyszalne, przynosi wciąż gorsze wieści: Zamek i Katedra zbombardowane, zarrządzona ewakuacja ludności. Stacja francuska nadaje tekst odezwy prezydenta Mościckiego, który opuścił Polskę. Koniec brzmii: „Opaczność wymierzy sprawiedliwość”. [...] Po zamknięciu radia siedzieli wszyscy bez ruchu, w milczeniu — ludzie obcy sobie nawzajem, pogrążeni w tej samej rozpacz.

Zwycięzca spod Grunwaldu (3)

Adam Andrzej Witusik

PO całodziennych trudach bitwy grunwaldzkiej zwycięski wódz, Jagiello, dobiegający sześćdziesiątki, zmęczony „pracą i upalem”, położył się na posłaniu z jaworowych liści pod krzakiem jeżyny, mając przy sobie jedynie młodego sekretarza Zbigniewa Oleśnickiego. Nazajutrz, 16 lipca 1410 r., odszukano na pobojowisku zwłoki wielkiego mistrza Ulryka von Jungingena, komturów „i innych znakomitszych osób w boju poległych”, by je pogrzebać. Zwłoki wielkiego mistrza i kilku najwybitniejszych dostojników krzyżackich Jagiello kazał „owinąć w czyste prześcieradła i odziane purpurą, na wozie czworokonnym odesłać do Malborka”.

Tego dnia nastąpił też przegląd zdobytych chorągwi i jeńców, a później wielka uczta, na którą król zaprosił wielkiego księcia litewskiego Witolda, książąt mazowieckich, dostojników polskich i litewskich, ale i znakomitych jeńców, jak księcia szczecińskiego Kazimierza i księcia oleśnickiego Konrada oraz innych wybitnych rycerzy. Przed ucztą sędziwy Piast, książę mazowiecki Janusz, na kolanach dziękował monarsze za uwolnienie od niebezpieczeństwa krzyżackiego jego dzielnicy i całego państwa. Wieczorem Jagiello podyktował i wysłał listy z wiadomością o zwycięstwie: do królowej Anny, do arcybiskupa gnieźnieńskiego Mikolaja Kurowskiego, który na czas wyprawy zastępował go w sprawowaniu władzy w kraju, do panów strzegących zamku wawelskiego, do Akademii Krakowskiej i do rajców krakowskich. W liście do królowej Anny informował Jagiello szczęśliwy:

Prześwietna księżno, znakomita a nam wielce miła małżonko nasza!... We wtorek, w święto Rozesłania Apostołów, mistrz krzyżacki z całą swoją potęgą do wojsk naszych się zbliżył... Rozpoczęliśmy bój, w którym wśród niezliczonych uбитych, sami zaś bardzo nieznacznie mając straty... wielkiego mistrza... i wielu komturów krzyżackich usiekliśmy, innych zaś do ucieczki zmusiliśmy... Dwie mile byli ścigani, a uciekając w jeziorach i rzekach, które stały na drodze ich ucieczki, w opromienionej liczbie potonęli, innych zaś zabito, tak iż bardzo niewiele uszło... [Książąt] Konrada Młodszego Oleśnickiego i [Kazimierza] Szczecińskiego... i innych niezliczonych gości zakonnych do niewoli wzięliśmy i jako jeńców dzierzmy.

Po jednodniowym wypoczynku wojska Jagiella ruszyły w kierunku stolicy państwa krzyżackiego. Maszerowano powoli, opanowując teren i obsadzając zamki (Olsztyn, Morąg i inne). Pod Malbork dotarło 25 lipca 1410 r. Wieloletni dowódca obleganie doskonale ufortyfikowanej stolicy Zakonu nie dało jednak rezultatów. 19 września Jagiello odstąpił spod Malborka i rozpuścił znuzone długą kampanią wojska. Wyszło tu na jaw nieprzygotowanie armii Jagiella do działań oblężniczych, ale i

brak jedności w naczelnym dowództwie zjednoczonych sił polsko-litewskich. Witold bowiem rychło opuścił ze swoimi wojskami Prusy, a za nim uczynili to również Mazowianie.

10 października 1410 r. Polacy w sile 2000 zbrojnych, zorganizowani i wysłani przez Jagiella, odnieśli świetne zwycięstwo pod Koronowem nad nową, liczącą około 4000 ludzi, armią krzyżacką, zorganizowaną przez wójta Nowej Marchii Michała Kuchmeistera. Wojska zakonne zostały zniszczone zupełnie, kto nie padł pod mieczem i nie uciekł, dostał się do niewoli. Siły krzyżackie górowały co najmniej dwukrotnie nad polskimi, Polacy nie mieli ani artylerii, ani piechoty — a mimo to zwycięstwo polskie było drugocenne. *Malo w naszym wieku pamiętają tak sławnych bitew... — zapisał piętnastowieczny kronikarz polski — rzadkie*



Zamek krzyżacki w Malborku.

Rysunek Józefa Tarłowskiego

bywają przykłady takiego męstwa, takiej wytrwałości i wzajemnego ubiegania się o zwycięstwo. A lubo wygrana pod Koronowem była rzeczywistością mniejszą niż pod Grunwaldem, wszakże ze względu na niebezpieczeństwo, wytrwałość i zapał walczących można ją wyżej kłaść nad grunwaldzką... Ta bitwa najbardziej upokorzyła i przytępiła dumę Krzyżaków. Dwa ostatnie zdania zawierały niewątpliwie opinię przesadną, niemniej odzwierciedlały radość i sąd ówczesnych o owym zwycięstwie. Wszyscy zasłużeni w bitwie pod Koronowem zostali przez Jagiella szczerze wynagrodzeni. Jan Długosz, opisując odwiedzanie przez monarchę rannych w boju rycerzy, stwierdził: *Zadnego nie pominął bez użyżnienia mu potrzebnego ratunku lub pokrzepienia go przychylnymi słowy. Rzekł był, że to nie król, ale człowiek zwyciężony, który dla równego sobie zadnej nie szczędzi pomocy i usługi.*

Dyplomacja krzyżacka wspólnie z sojusznikiem Zakonu, królem Węgier Zygmuntem Luksemburczykiem, natychmiast po bitwie grunwaldzkiej zaczęła rozpowszechniać wiadomości, że była to klęska zadana chrześcijanom przez pogan. W liście adresowanym do wszystkich władców świata chrześcijańskiego datowanym z Budy 20 sierpnia 1410 r. Zygmunt Luksemburczyk „informował”, jak to „rycerze Chrystusa” zostali zwyciężeni przez „wściekłych” pogan i polegli „w imię Chrystusa”. Wtórował mu jego brat, król Czech — Wacław. Mimo aktywnych poczynań dyplomatycznych kancelarii królewskiej i Akademii Krakowskiej, a ukazujących prawdziwy obraz wojny, propaganda krzyżacka i luksemburska zrobiła w Europie wrażenie. W obronie Zakonu interweniował u papieża monarcha angielski Henryk IV, podobnie król francuski Karol VI. Do walki z państwem jagiellońskim w obronie „Zakonu i całego chrześcijaństwa” nawoływał Zygmunt Luksemburczyk, który w początkach 1411 r. objął też rządy w Marchii Brandenburskiej. W atmosferze ożywionej walki dyplomatycznej i nacisków na Polskę ze strony niemal całego ówczesnego świata chrześcijańskiego zawarty został na wyspie wiślanej pod Toruniem 1 lutego 1411 r. pokój z Krzyżakami. Zakon akceptował pozostanie Zmudzi przy Litwie na czas życia Jagiella i Witolda, zwracał Polsce święto zagarniętą ziemię dobrzyńską oraz zobowiązywał się do zapłacenia wysokiego okupu za zwolnionych przez Jagiella jeńców.

Po Grunwaldzie wymogi sojuszu w walce o utrzymanie na stałe Zmudzi skłoniły Litwę do zacieśnienia więzi z Polską. Umożliwiło to Jagielle doprowadzenie do zawarcia w październiku 1413 r. unii horodelskiej. Stanowiła ona, że związek obu państw będzie miał charakter trwały. Odtąd wielki książę na Litwie miał być ustanawiany przez króla za zgodą panów oraz szlachty litewskiej i polskiej. Odwrotnie, ewentualny wybór króla w Polsce miał się odbywać za wiedzą i radą panów i szlachty litewskiej. Czterdzieści siedem najzamożniejszych litewskich rodów bojarskich zostało przyjętych do herbów rodów polskich i uzyskało polskie przywileje szlacheckie. Dla omawiania spraw interesujących oba kraje przewidziano wspólne polsko-litewskie zjazdy i sejmy. W uchwale zjazdu horodelskiego Jagiello stwierdził: *Pragnę atoli kraj litewski od zdradziecu i napaści Krzyżaków, jako też ich stronników i sprzymierzeńców, i wszystkich zgola nieprzyjaciół czyhających na zgubę Litwy i Polski lepiej*

twierdzamy niniejszym piśmie wszystkie ich wolności swobody, przywileje i prawa wyjątkowe według prawa i obyczajów zachowywanego w Królestwie Polskim. Panowie także, szlachta, bojarowie naszego Królestwa Litewskiego, ale ci tylko, którzy są wyznawcami rzymskiego katolickiego Kościoła i którym udzielone są klejnoty szlacheckie, mają nadanych sobie wolności i przywilejów swobodnie i w całej rozciągłości używać, tak jako ich używają panowie i szlachta Królestwa Polskiego... To także dodajemy i wyraźnie zastrzegamy, że panowie i szlachta tak Królestwa Polskiego, jako i Litwy zjazdy publiczne i sejmy, ile razy potrzeba tego będzie, w Lublinie, w Parzewie albo w innych miejscach sposobnych, za naszą uchwałą i wolą odbywać się mają, a to dla dobra Królestwa Polskiego i ku równemu pożytkowi Litwy.

Unia horodelska — mimo przejściowych zachwian i modyfikacji — stała się podstawą więzi międzypaństwowej na półtora wieku z okładem — do unii lubelskiej 1569 r.

Do ówczesnej sztuki rządzenia należały ustawiczne objazdy państwa. Czym to było dla prowincji koronnych i litewskich nie trzeba tłumaczyć. Jagiello od chwili powstania go na tron krakowski, regularnie co roku objeżdżał wszystkie ziemie Królestwa Polskiego, rozstrzygając na miejscu spory, sprawując sądy i kontrolując działalność starostów i urzędników ziemskich. Pod koniec listopada natomiast wyjeżdżał na Litwę i spędzał tam Boże Narodzenie oraz Nowy Rok. W Polsce, w przerwie między podróżami, chętnie przebywał nie na Wawelu, którego raczej nie lubił, ale najczęściej w Nowym Mieście Korczynie — w zamku założonym tu jeszcze przez króla Kazimierza Wielkiego. Znal więc dobrze Jagiello całą Litwę i Polskę — od kijowskich rubieży po Zmudź, od dalekiego Podola po ziemię dobrzyńską.

Po Grunwaldzie przyszło jeszcze Jagielle kilkakrotnie wojować z Zakonem Krzyżackim. Raz w 1414 r. — wtedy armia polska spustoszyła Prusy i ziemie chełmińską, nie potrafiła jednak zdobyć tamtejszych zamków. Drugi raz w 1422 r. — wówczas po sukcesie wojsk polsko-litewskich został zawarty pokój na jeziorze Melno, na mocy którego Zakon wieczyste rezygnował ze Zmudzi. I po raz ostatni w 1433 r., niedługo przed swą śmiercią.

Walcząc z Krzyżakami Jagiello budził żywe sympatie wśród Czechów, gdzie w tym czasie rozwijał się ruch społeczno-narodowy, którego przywódcą ideowym, a później symbolem, był Jan Hus, rektor Uniwersytetu Praskiego. Ruch ten zwrócił się przeciwko dyktanctwu luksemburskiej i reprezentowanej przez nią niemieckiej, ale także przeciwko nadmiernej wzbogaconej, a nie zawsze świecącej dobrym przykładem hierarchii kościelnej, ucziągłemu systemowi świadczeń na rzecz duchowieństwa i Stolicy Apostolskiej. Husyci, opierając się solidarnie Zygmuntovi Luksemburczykowi jako pretendentowi do korony czeskiej po zmarłym w 1419 r. swym bracie Wacławie, postanowili oddać ją królowi polskiemu, Jagielle nie mógł przyjąć tronu czeskiego, bo to by poważnie zaszkodziło w walce z Zakonem Krzyżackim. Spierając się z Krzyżakami i Zygmuntem Luksemburczykiem nie mógł kreć na siebie bieżącej popierania herezji. Za zgodą Jagiella przyjął koronę czeską wielki książę litewski Witold, lecz raczej tylko teoretycznie. Do Czech, na hradechański zamek, wysłano jako namiestnika Władysława, wujaka Jagiella, Zygmunta Korybutowicza. W 1423 r., kiedy w polityce polskiej zaczęły brać górę tendencje antyhusyckie, odwołano go stamtąd.

Zygmunt Luksemburczyk, chcąc przyciągnąć Polskę na swą stronę, zaproponował owdowiemu podówczas po raz trzeci Jagielle czwarte małżeństwo z własną bratową Ofką, wdową po królu czeskim Wacławie, w posagu obiecując Śląsk. Panowie i szlachta koronna byli za tym planem, jednakże Jagiello posłuchał rady wielkiego księcia litewskiego Witolda, obawiającego się przekreślenia swych zamiarów opanowania Czech, i z początkiem 1422 r. pojął prawosławną księżniczkę Sońkę z Holszan, która przed ślubem przyjęła katolicyzm i imię Zofii. Książowie Holszańscy należeli do krnizów czysto litewskiego pochodzenia, jak wskazuje imię ich pierwszego historycznie znanego przodka Olgimunta oraz dziedzina, z której się pisali, Holszany, leżąca w powiecie oszmiańskim na południowy zachód od Krowa, a więc na terenie Litwy właściwej. Ślubu Jagiella i Zofii udzielił w Nowogródku biskup zmudzki Maciej. Jeden z kronikarzy napisał: *Wesele odbyło się w Nowogródku z wielką okazałością; były to gody nierównych wiekiem małżonków. Władysława, króla podszerego w latach, i rzeszonej Zofii, kwitnącej wówczas dziewczynki, a urodą więcej niżli cnotami zaleconej. Decyzja Jagiella odnośnie małżeństwa była zgodna z interesami dynastii i państwa polsko-litewskiego. Monarsze potrzebny był syn, który w przyszłości objąłby władzę w Krakowie i Wilnie, a takiego mogła mu dać tylko młoda i zdrowa królowa.*

(Dokończenie nastąpi)

Wampir grasuje w okolicach żeńskiego akademika

Ciąg dalszy ze str. 1

Dzisiaj dla odmiany zostawiłam w autobusie pokrowiec od parasola. Idę sobie dalej, aż tu nagle podchodzi do mnie sympatyczny pan, bardzo wytworny i mówi, że zgubił to i owo.

— W końcu zostawisz tam swoje dessous, a jakiś wytworny pan książę poda ci je w dwu palcach i też będziesz zachwycona. Może ten wytworny pan, to był właśnie ów wampir?

— To samo chciałam właśnie ci zasugerować, ale z tobą nie można poważnie podyskutować.

— Przecież ty o wampirze mogłabyś mówić też raz dniami i nocami.

— Idę, nie ma co dziś z tobą gadać — powiedziała Benia i poszła do siebie. Zastanawiałem się, czy nie pójść za nią i nie przeprosić się, ale nie miałem wielkiego wpływu na jej humorki. Raz śmiała się z moich dowcipów, drugi raz nie. Pociągnęłam ustalonym traktem do kumpla.

— Liszaju — mówię — jest dla ciebie nowa robota, tym razem w żeńskim akademiku. Wampir grasuje. Podgląda dziewczęta i proponuje im różne śmieszne rzeczy.

— To chyba małoletni, w takim razie?

— W każdym bądź razie dziewczęta strasznie się go boją. Musisz coś zrobić. Napisz o tym w swojej gazecie.

— Daj spokój, nie kpij. Sam się teraz poświęciłem kobietom.

— Przecież ty nie jesteś wampirem, tylko dziennikarzem.

— Czekaj, czekaj — mówił Liszaj z przymrużeniem oka — Czy ty naprawdę uważasz, że byłem dobrym dziennikarzem?

— Jesteś nim chyba, do cholery!

— Co sądzisz o moich artykułach?

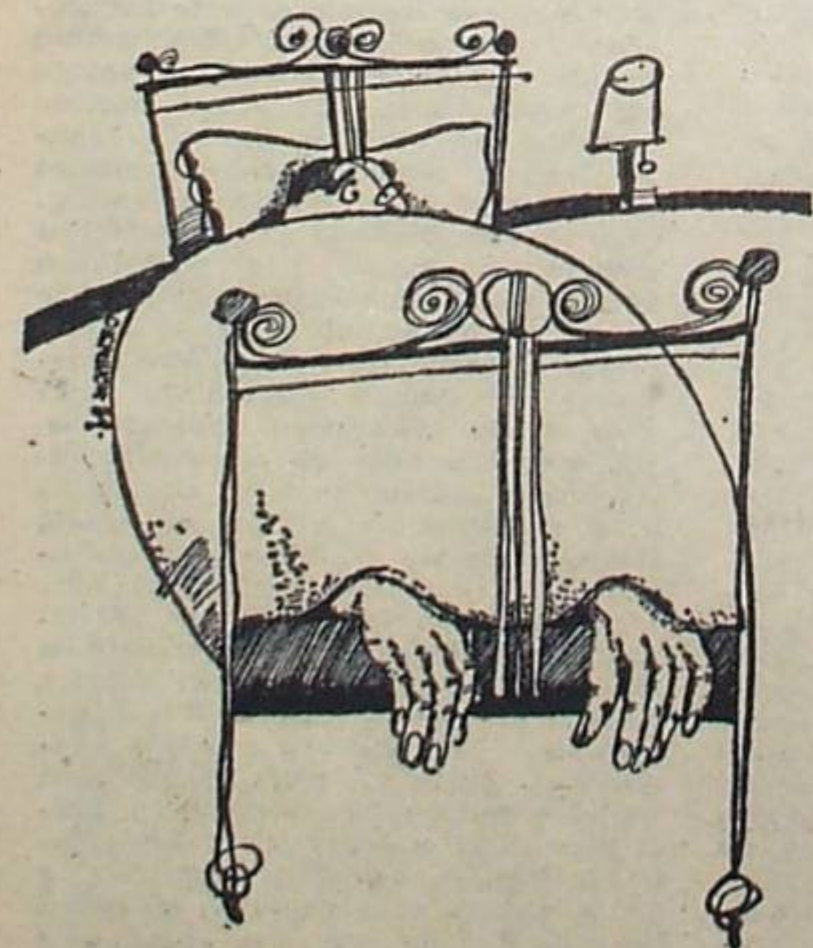
— Co można sądzić o kilku zapieprzonych nołatkach prasowych? Czekam, kiedy dopuszczą cię wreszcie do prawdziwej publicystyki, jak na byka, podobnego do ciebie, przystało.

— Nie mówmy o sprawach zawodowych. Przyzędł teraz na mnie znowu romansowy okres. Nie wiem, jak się mam z tego wyplątać.

Liszaj zaczął opowiadać mi o swoich babach. Czy wszystko ma ograniczać się do kobiet? Czyżby one były jedyną tajemnicą takiego odludka jak Liszaj? Kobiety, kobietki, dziewczyny — oto co zawęziło nam nasze spojrzenie na świat. Nie tylko wampir widocznie spoglądał na życie przez szparki ich seksu. Czymże więcej jest modna groteska niż plugawym wykrzywianiem się, grymasem organizmu? Oto nasz młodzieńczy światek wstrząsany paroksyzmami. Takie pisaliśmy teksty i inscenizowaliśmy je w swoich studenckich budach. A więc, czyżby radość młodości miała być tylko kalectwem? Bzdura!

Liszaj opowiadał mi teraz o dziewczętach długo i rozważnie, jak ginekolog. Wydawało się, że miłość naprawdę jest częścią jego duszy. A mówił to wszystko, jakby pragnąc usprawiedliwić wampira, który zadomowił się w żeńskim akademiku, stanowiąc niejako jego symbol.

— Dlaczego portiernia go przepuszcza, skoro nawet narzeczeni nie mogą tam widywać się ze sobą? — żartował Liszaj na marginesie swoich rozważań. Spoglądałem na niego. Był pięknym mężczyzną, takiego widuje się tylko na ekranach. Mógł wieść za sobą tłumy kobiet, a każda kroczyłaby za nim jak na premierę.



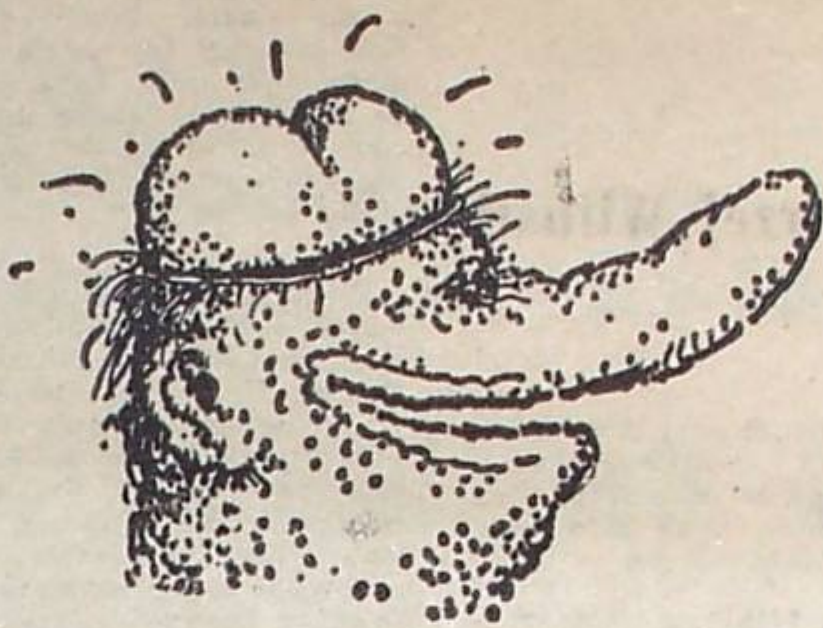
Rys. Zbigniew Cieniuch

Podboje erotyczne Liszaja zdumiewały nawet mnie, człowieka niezdolnego do głębszych wzruszeń w tym zakresie. Wodził rej na studenckich zabawach, na których, jak na każdym ubawie, więcej było dziewczyn niż chłopców i tancerzy ceniono wysoko, ponad zasługi. Czarodziejska legitymacja prasowa, renowa dziennikarza, tego krzyżowca awanturniczego wieku, otwierała mu wszystkie drzwi, nawet do serc i zakamarków dziewczęcych.

— Jak ty to robisz, Liszaju? Czy ty czasem nie badasz wyporności miłosnej studentek?

— Nie zapominaj, że to jest młodzież, element surowy, a więc na ogół panny po dwudziestce, bez większych perspektyw życiowych — tłumaczył mi z całą powagą, choć wyglądało to raczej na żart. — Każda z nich ma już poza sobą złudzenia harcerskiej młodości, kiedy uwodził je przy ognisku Faun w krótkich majteczkach. Wystarczy, żeby przeczytał im swoje wiersze.

Wyobraźcie sobie przystojniaka piszącego i następnie odczytującego z manuskryptu własne utwory. Czyż nie może pannie serce pęknąć na taki widok? Na jedną sprawę mi wtedy Liszaj oczy otworzył. Tak zwana lekkomyślność studentek, to przede wszystkim problem ich staropanieństwa, które zbliża się coraz bardziej z każdym zaliczonym semestrem, aż wreszcie osiada pierwszymi zmarszczkami na czole panj magister. I oto te starzejące się pannie zmuszone są do demonstrowania się w krzykliwej subkulturze chłopackowatych kolegów, którzy nie poznali jeszcze służby wojskowej, jedynej wielkiej męskiej przygody.



Rys. Adam Lep

W klubach studenckich trwa nieustanna zabawa. Popisują się zespoły, soliści i osoby prywatne. Wszystko wygląda dość niepoważnie i oto nagle pojawia się młody dziennikarz, chorąży rezerwy, indagujący dziewczęta w tańcu i wiodący je potem na manowce długich spacerów w najdalsze uliczki, ciemne skwerki, czy — dla odmiany — rozjarzone wnętrza knajp, buhające odorem alkoholu.

W takiej knajpie na ogół dużo jest bezprzedmiotowego krzyku i głośnienia. Jedynie Liszaj, skupiony i uważny, odczytuje w tym halasie swoje wierszyki. Znałem je ze słyszenia. To była Konopnicka, tylko uwspółcześiona aż do belkotu i niezrozumiałości. Muszę przyznać, że Liszaj pisał pod Konopnicką całkiem nie najgorsze wiersze lingwistyczne. Nikt nie dałby mu za nie Nagrody Nobla, ale pannie w cukierni mógł zaimponować, tym bardziej, że zaczynał zawsze lekturę od swojego jedynego drukowanego utworu. To właśnie zasługuje na podkreślenie: we wszystkim Liszaj sprawiał dobre wrażenie i rokował nadzieje na przyszłość. Dlatego chyba miał takie powodzenie w przypadkowych znajomościach: imponował pannie pierwszym wrażeniem. A potem już szło.

— Potem zabieram je do swojego pokoju, obiecując im dalsze wierszyki do poduszki — mówił Liszaj, opisując już samą technikę swoich sukcesów. — Ale wiersze nie są tu najważniejsze.

— A co jest najważniejsze? — pytam zmuszony do zadania tego pytania.

— Najważniejszy jest rozkład samego mieszkania. Moja kawalerka jest niepowtarzalna w swoim rodzaju. To taka długa kicha z szafą pośrodku, jak sam wiesz najlepiej. Otwierasz drzwi szafy i robisz sobie dwa osobne przedziały w tym tramwaju.

Liszaj umilkł, oczekując na dalsze pytania, więc też i pytam go, jaki tu dalszy ciąg będzie, na czym polegają plusy takiego rozkładu. Otóż technologia ta polegała na tym, że Liszaj sadzał pannę nad swoimi wierszykami, przeproszał ją na moment i otwierając szafę, zasłaniał się jej drzwiami. Za tym parawanem szybko zdejmował z siebie ubranie, obuwie, bieliznę, rozbił się do rosołu, nawet listek figowy wyrzucał do śmietnika mitologii i wychodził nie jak człowiek, tylko jak dyszące namiętnie, nagie zwierzę. Nie przesadzam. Mój kumpel owłosiony był od stóp do głów jedynie z lekką tendencją do tysienia. Już na plaży prezentował się fantastycznie, gdzie przecież nie brak takich widoków. A teraz ściągnijcie z niego ostatnie szatki!

Panna przychodzi z ufnością do subtelnej poety i nagle widzi, że zza szafy, zamiast liryka, wyłazi zwierzę. Z rozkroczonymi drapieżnie oczyma, porośnięte sierścią. Delikatny uścisk, czy pocałunek wpływa uspokajająco na przerażoną, dowodzi jej namacalnie, że stwor ten ma w sobie coś z człowieka. Potem uświadamia sobie, że to bydle jest nie tylko człowiekiem, ale i poetą, niemodnym, niepotrzebnym, dziewiętnastowiecznym strażnikiem, ratującym się jedynie formą, belkotem i niezrozumiałością. Dziewczyzna wrzasa się głośnie, zwierzę-apollińskim losem, a Liszaj triumfuje w swoim barlogu jak pierwszy lepszy podrywacz.

— Nie ma silnych — mówił teraz do mnie, jakby w ekstazie jeszcze jednego orgazmu. — Wierzę w Casanovę oraz wszystkie jego długie numery i długie serie, bo poznałem się na tych sprawach i powtarzam ci: przy odpowiedniej technologii nie ma silnych.

— Czy szukasz w kobiecie siły?

— No, skoro cię to razi, więc powiedzmy sobie inaczej. Miłość rozchyła się wtedy do mnie, jak kwiat lotosu. Pachnie perfumami wschodu. Ale skoro mówimy już o kobietach, to pragnąłbym cię prosić o wyświadczenie mi jednej przysługi.

Sprawa była prosta. Miałem pójść i wystraszyć z jego kawalerki następczynię Ewki. Przyjął ją do siebie pod pozorem narzeczeństwa, ale czyż narzeczeństwo nie jest naprawdę pozorem i złudzeniem? Dziewczyna zawsze mu czysto posprząta, ale dość już ma tego pozornego porządku z tą urodzoną bałaganiarą. Zawsze się w nocy pokłóca i ona od samego rana zabiera się do porządków zamiast do nauki.

— Jak już się domyślasz, jest ona studentką — tłumaczył mój kumpel. — Rodzice nic jej nie dają na naukę, więc ona żyje tylko z tego, co ma na sobie. Sprzedawała ciuchy, a potem ofiarowywała się jako pomoc domowa w Paryżu. Szybko jednak powróciła do kraju i tak laseruje. Próbowałem nasylać na nią różnych facetów, ale ona nie dawała się nikomu wziąć na takie subtelne numery. Była komu oddawałem klucze od mieszkania, a ona przetrzymywała ich wszystkich. Bo widzisz, ja mam serce do kobiet miękkie. Nie mogę powiedzieć jej do widzenia, kiedy wiem, że jej to nie pasuje. Nie mogę jej palcem pokazać drzwi. Idź tam teraz ty, wejdź w rolę mojego brata i strasznie się zdenerwuj. Jako brat, którym prawie jesteś, wejdź w moje położenie. Krzyknij: Cynik! Swinia!! Panienecki tu utrzymuje za pożyczony pieniądze! Strasznie się zdenerwuj. Wal pięściami w stół. Może się przestraszy i pójdzie w diabły. Niech znowu składa podanie o akademik. Tam wprawdzie trzema się obejść bez chłopców, ale są znakomite warunki do nauki. Przy mnie nie musi się uczyć życia. Powiedz jej, że to ja jestem ten wampir. Zrób, co ci mówię, a dam ci fajną dziewczynę. Bo z nią nie możesz zaczynać w żaden sposób romansu. Ledwo ją dotkniesz, a już robi „V”, znak zwycięstwa. Tacy do niej przychodzili różni bandyci, ale jej tym nie przegonili, przed czym by dziecko uciekało. Przegonisz ją to ci dam fajną dziewczynę. Szlabany spuszcza na kole. Tylko jak pociąg jedzie, to musisz przerywać.

— Niepotrzebna mi żadna dziewczyna.

— Jak to? Jesteś nie zainteresowany w babskich sprawach? Bardzo ci się dziwię. Wiesz przecież, że do czego słaby zajacek nie może dojść głowa i pazurami, dochodzi... tralala, dośpiewaj sobie całą resztę.

— Liszaj, czy ty czasem nie pracujesz w jakimś piśmie pornograficznym?

— Ech, ty, durna pało! Więc ty naprawdę myślisz, że ja jestem takim sobie panem redaktorem z bajki? Jestem na to za bardzo lewy, choć może nie dla takich jak wy.

A więc Liszaj udawał tylko przed nami. To był prosty fakt, ale teraz dopiero zasłony spadły mi z oczu. Dopiero teraz nie wierzyłem nikomu w to, że Liszaj jest dziennikarzem, choć jeszcze przed minutą byłem o tym święcie przekonany. A to mi się dopiero spodobało! Ależ numer z ciebie, stary wygo! Przecież wszystkich nas postawiłeś na nogi razem ze mną. Cynik nie cynik, poeta nie poeta, każdy wierzył w ciebie, jak w słońce na niebie. Przecież to będzie najwspanialsze, gdy się kumple o tym dowiedzą. Pękna ze śmiechu, albo z wściekłości, bo przecież każdy z nich ma się za największego na świecie ironistę. Podobno nic w życiu nie jest więcej warte od śmiechu, no, to się pośmiej z samych siebie. W czasach ustalonych i pewnych nie ma innego zagrożenia poza śmiesznością, dlatego tak są uczuleni na tę sprawę i pierwszy wybuchają chichotem na widok poważnego sera. Im kto więcej nawarzą, tym więcej rzy z uciechy. Białko! Białko! Ha! Ha! To nie grozi nam odbielenie. Dawaj śmiać się z sera bez końca, żeby nie było serio aż do śmieszności.

Patrzcie wesolkowie, jak to Liszaj, człowiek najbardziej serio spośród tych, których spotkaliście w życiu, wyprowadził was na sam skraj tej przepaści wyłożonej krzywymi lustrami beczki śmiechu. Już wiem! Liszaj to Diogenes w beczce śmiechu!

— Przesadzasz — powstrzymał mnie kumpel przed nadmiernym entuzjazmem. — Ale mniejsza z tym, mam do ciebie prośbę. Przez jakiś czas nie rozgłaszaj tej nowiny.

— Proszę, jaki to konsekwentnie i nieustannie człowiek serio.

— Niech się to wszystko rozejdzie po kościach, choć tacy Chrabąszczowie, są to ludzie z gumy. Mogliby występować w cyrku. Nie wiem, czy są bez kośćca, czy bez charakteru.

— Bzdury gadasz. To fajni chłopcy. Nie znasz ich i nie potrafisz się z nimi pośmiać. Wyśmiałeś ich tylko.

— Ano, prawda, nie miałem akurat nic lepszego do roboty.

— Widzisz obiboku, a oni przynajmniej na serio wzięli się do nauki.

— Toteż im jej trochę i ja udzieliłem.

Tak więc Liszaj obnażył się wreszcie dokonawszy poprzecznie wielkiego zamieszania w całym naszym środowisku, które też jakby neglowało się nieskrótnie.

— Może więc to ty naprawdę jesteś tym wampirem? — spytałem.

— Tak, dla ciebie mógłbym być wszystkim od razu: i wampirem, i szlachetnym seksuologiem, autorem rubryki w gazecie młodzieżowej. W twoim mózgu pomieści się wszystko, jak w jednym worku. Studencki świat to niestrawna sałatka. Sam o



Rys. Zygmunt Pytlik

tym czytałem, że salatkę są niezdrowe. Uważajcie, żeby sufit nie spadł wam na głowę... obnażając wnętrze sypialne sąsiadki z piętra, na którą macie ochotę.

Teraz to już tak samo byłem pewny, że Liszaj jest wampirem, czyli tajemniczym, nieuchwytnym podglądaczem i podszczytywaczem, jak poprzednio dawałem głowę, że jest początkującym dziennikarzem. Sam byłem o to zły na siebie. Czy ja już inaczej nie potrafię myśleć? Czy mam tylko rozważać wszystko w kategoriach ustalonych schematów? Kimże jest w końcu choćby ten Liszaj? Młodzieńcem, czy wampirem? Sam mówi, że nie jest dziennikarzem, więc jest wampirem. Inaczej nie potrafiłem pomyśleć. Może zacznę wnioskować, gdy skończę studia i życie moje się na powrót skomplikuje.

Liszaj, jako erotoman, mógł być i wampirem, a że był erotomanem za to mógłbym teraz dać głowę. Leb za sex? Czy to się oplaca? Jednak dowodów na potwierdzenie mojej tezy mógłbym przytoczyć wiele, poczynając od wspomnień najwcześniejszych. Pamiętam dobrze jedną lekcję w podstawówce, na której to Liszaj objawił się jako Casanova, wciągający i mnie w sprawy, nie mające nic wspólnego z naszym ówczesnym programem liczenia, czytania i pisania. Pani napisała na tablicy temat „Chrzest Polski” i usiadła za stołem. Wzięłam pióro i otworzyłam zeszyt, pamiętając wciąż o tym, że chrzest pisze się przez „rz”, ponieważ „rz” piszemy po PeTeKaChaJot.

— Wiesz, dlaczego chrzest pisze się przez „rz”? — spytał Liszaj szepem.

— Co? — spytał Liszaj i odwrócił się do mnie całym ciałem, strącając gumkę z ławki.

Powtórzyłam pytanie i zostałam powiadomiona, że chrzest dlatego piszemy przez „rz”, bo jest nieodmienne. To była typowa odpowiedź Liszaja — pozory erudycji i głębokie przekonanie o własnej wiedzy, ożenione z nieuctwem. Następnie Liszaj włożył pod ławkę i rozpoczął poszukiwanie zagubionej gumki.

— Wiesz co? — spytał z własną gumką i cudzym ołówkiem w ręku. — Nasza pani siedzi bez majtek.

— Nasza pani? — zdębiałem zgorzony. Nie wierzyłem własnym uszom.

— Wleź pod ławkę i sam zobacz — powiedział, a ja zastosowałem się do tej rady. Zrzuciłem ołówek i zacząłem poszukiwać go na podłodze.

— Liszaj! — powiedziała pani ostro. — Czemu się kręcisz? Słuchaj tego, co mówię i połącz ręce na stół.

Liszaj zachichotał glupkowato i zrobił to, co mu polecono. Wszyscy uczniowie spojrzeli na jego ręce, a niektórzy spoglądali jeszcze nawet wtedy, gdy pani przeszła do wykładu o starodawnych czasach.

— Widziałeś? — spytał szepem mój kumpel.

— Nic nie widziałem i nie wiem, czy ona ma majtki. Raz mi się tak wydaje, raz znowu inaczej.

— Mówię ci, że nie ma.

— Liszaj — powtórzyła pani tonem męczennicy.

— Stań sobie tam, w kącie. Tylko nie opieraj się o ścianę i nie baw się rękami.

Wszyscy znowu spojrzeli na ręce Liszaja, a niektórzy obserwowali je do końca lekcji, bo mój kolega usiłował puszcząć coś w rodzaju zajacek. Po dzwonku podszedł do mnie i powiedział.

— Wiesz, co zrobimy? Położysz lusterko na bucie i podejdziesz do niej tak blisko, żebym ja mógł popatrzeć z boku. Wtedy będziemy wiedzieć na pewno i powiemy o tym Jupkowi.

— Ale co ja powiem, kiedy do niej podejść?

— Powiedz, że boli cię głowa.

— Ja nie idę — zbuntowałem się. — Ona mieszka blisko nas i wszystko zaraz opowiada mojej matce. Powie, że podszedłem do niej z lusterkiem. Po co mi to potrzebne?

Pamiętam to wszystko. Kto więc jak nie Liszaj, jest owym postrachem żeńskich akademików?

Janusz Olczak

(Fragment pochodzi z przygotowywanej do druku powieści pt.: „Uniwersytety i wampiry chorążego Liszaja”).

Zofia Luchowska-Kuna

MA SIĘ POD WIOSNĄ

Na listowym papierze
rysuję sobie długopisem
kwiat niebieski.

Podobno
ma się pod wiosną.
Wyglądam przez okno
i widzę szarzący asfalt
co jeszcze nie zaczęło
kwitnąć.

Niby wszystko bez zmian.
Tylko słońce odmłodzone
po zimie
zmywa szyby
coraz silniejszym ciepłem
jakby ciekawe
mojego zamyslenia.

SWIERKOWA DROGA DO NIEBA

Świerki, z których dumny jest
mój ojciec
i do dzisiaj za nic i na nic
nie pozwoli ich ścinać,
co najwyżej jakąś gałąź,
odkąd zapamiętałam już
rosły przy starym sadzie.
Na południowym wzniesieniu
jednego z licznych na tym terenie
pagórków. Rzędem
pięty się w górę obok dróżki
i alejki z kwiatami,
które kiedyś posadziły
siostry ojca. One odeszły jednak
do miasta. Piwoniami
i różami opiekowała się nadal
moja matka, a potem my z siostrą,
gdy tylko nieco podrosłyśmy.
Myślałam wtedy, że ojcowe świerki
prowadzą do samego nieba.
Wystarczyło na dole pagórka
stanąć i patrzeć za nimi,
jak jeden za drugim podąża
w stronę przechodzących chmur.
Marzyłam, że kiedy już dorosnę,
to sprawdzę,
co jest
tam wysoko
coraz wyżej.
W międzyczasie kilku świerków,
niestety, ubyło. Inne rosły.
Tylko mnie brak
paru zielonych szczebli,
żeby wejść.

TYLE CO CHCIEĆ ODEJŚĆ

Nie poznałam Alicję
najstarszej siostry.
Odeszła zanim
zdzążyliśmy się z Anną
urodzić.
Nie zapamiętałam Józefa
najmłodszego wówczas dziecka
moich rodziców,
ale wiem, że miałam
braciszka.
Chciałyśmy z Anną karmić
go wiejskim chlebem. Wtedy ledwie co
nauczyłyśmy się chodzić.
Matka chroniła swojego synka
i zamykała przed nami
w komorze z małym okienkiem.
Któregoś ranka, przez nikogo
nie zauważona przyszła cicho
kobieta. Obca o kruche życie na ziemi.
Wzięła trzymiesięcznego
chłopczyka na ręce
i zabrała. Podobno do swojego
dalekiego domu.
Anna odeszła chyba sama
i z nikim nie pożegnała się.
— Pamiętam ją, ale wspominać Annę,
to tyle, co chcieć odejść.

Tadeusz Karabowicz

Odejdę w piwnic mrocznych
czeluś
w miejsca zimne i wilgotne
kalina tam nie kwitnie
słoneczniki tam nie rosną

CHEŁMSZCZYŻNA

gdzie zbiegowisko wiatrów
na zielonej stronie
gdzie w niebie zarząły
urojone konie

tam dom mój

gdzie plastrzem czarnym
odwraca się ziemia
gdzie ktoś kochał i płakał
gdzie dziś kogoś nie ma

tam dom mój

KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI •

Wiersze Matyldy Welny

GDY młody Tuwim zadebiutował swym obrazoburczym dytyrambem *Wiosna*, zdumieni i często obrażeni czytelnicy zrozumieli, iż można, pisząc o tej porze roku, absolutnie pominąć wszystkie jej atrybuty — uroki. Debiut Tuwima przypadł na okres, w którym słynne trzy M (Miasto, Masa, Maszyna) stanowiło przedmiot najczęstszych, artystycznych fascynacji. Spadek po dwudziestoleciu międzywojennym i fakt, że współcześni poeci mają najczęściej zdecydowanie wielkomiejski rodowód, sprawiły, iż wiersze pejzażowe, te o „wsi spokojnej, wsi wesolej”, pojawiają się w naszej literaturze raczej rzadko. Jeśli już — to są to, całkiem czasami zgrabne, stylizacyjki czy pastisze, będące zadziwiającym połączeniem fraz Jesienina z Cepelią.

W tomie *Matylda Welny Uśmiech Ojczyzny* spotykamy, Bogu dzięki, ton odrębny. Najlepszym jej wierszom patronowały, moim zdaniem, dokonania wielkiej „młodośląskiej”, Bronisławy Ostrowskiej. Chyba bowiem tylko u Ostrowskiej z taką dokładnością, pietyzmem i wyczuciem otworzony został krajobraz wiejski. Tylko ona dotąd tak uważnie umiała się przypatrywać najdrobniejszym, najmniej efektownym, niemal niezauważanym przez mieszczuchów roślinnikom. O ile jednak krajobraz polski pełni w utworach Ostrowskiej funkcję głównie estetyczną, o tyle Welna ma jeszcze świadomość tego, iż „widząc i opisu-

jąc”, ocala jednocześnie od zapomnienia tę wieś, która lada moment przeminie dzięki swojemu „awansowi”.

Welna wielokrotnie fabularyzuje swoje utwory. Tego rodzaju tendencje spotyka się w utworach dzisiejszych coraz częściej. Sądzę, iż jest to jedna z metod, jaką artyści stosują, iżby przyciągnąć odbiorców do tej zawsze, mimo wszystko, elitarniej dziedziny sztuki, jaką jest poezja.

Interesujące są te wiersze poetki, w których próbuje ona uchwycić przemiany zachodzące na wsi oraz przemiany dokonujące się w psychice jej mieszkańców. Przyznam jednak, iż stosunkowo mało mnie przekonują wiersze zblizowane w tonacji do utworów Konopnickiej czy młodego Kasprówicza, mówiące o „krzywdzie ludu”. Nie tylko zresztą dlatego, że temat zdaje się być zdewaluowany, ale i dlatego, iż poetka czasem zupełnie niepotrzebnie uderza w mało, jak sądzę, dziś przekonujące tony patetyczne i profetyczne. Podejrzewam, iż gusta współczesnych odbiorców są jak najdalej od egzaltacji.

Na szczęście tego rodzaju wiersze są w pokaźnym tomie Welny rzadkością. Nie one więc przesadzają o randze książki.

W swojej przedmowie do tomu napisała: *Marzyłam przy pisaniu tych wierszy, by [...] ocalić od zapomnienia okrucy zmierzającego piękna*

wsi. Jutrzejczy jego kształt będzie nie tylko inny, ale i boleśnie uboższy.

Sądzę, iż właśnie to zamierzenie udało się poetce zrealizować. W jednym ze swoich utworów napisała:

drogi są długie błotne uciążliwe
a żalność wielka i markotna
bo w czółnach trumien stara wieś
odpływa
bo takiej Polski już nigdy nie
będzie

Jej książka to niejako epitafium dla świata, który musi zginąć, a z którym to jednocześnie czuje się autorka serdecznie związana.

Wiersze poetki cechuje duża kultura literacka. Na uwagę zasługuje również zawsze interesująca, zdecydowanie nie katarynkowa wersyfikacja.

Sądzę, iż wszyscy wrażliwi na uroki przyrody i emocjonalnie związani z kulturą dawnej i nowej wsi — przeczytają ten tom z dużą przyjemnością.

Dorota Chrościelewska

Matylda Welna, *Uśmiech Ojczyzny*. Warszawa 1982. LSW.

kamena 7

Żeby nie udławić się azotami

W WIEKU XVIII Puławy, jak wiadomo, były najważniejszym, obok Warszawy, ośrodkiem oświeceniowej kultury. Dwór księżnej Izabeli Czartoryskiej skupiał wielu znamienitych artystów i najświetlejsze umysły oświeceniowej kultury, z których najdłuższymi z Puławami był związany poeta Franciszek Dionizy Kniaźnin. Były ówczesne Puławy jednym z najważniejszych ośrodków magnackiego teatru. W późniejszych epokach z kulturą i sztuką Puławy niewiele miały już wspólnego, wiodły raczej zwyczajny żywot prowincjonalnego miasteczka.

U progu lat sześćdziesiątych naszego stulecia rozpoczął się — jak to zwykle się mówi — dynamiczny rozwój miasta, związany z podjęciem budowy Zakładów Azotowych „Puławy”, które w chwili obecnej są największym przedsiębiorstwem przemysłowym Puław, zatrudniającym 5500 pracowników. Skoro więc w tym niewielkim i nijakim właściwie mieście zamierzono przemyśleć na wielką skalę, pomyślano od razu, że samą produkcją człowiek pewnie nie wyżyje i w 1967 roku rozpoczęto wznoszenie ośrodka kultury. Zaprojektowano obiekt okazały i budowę od razu zaplanowano na parę lat, rychło więc przedsięwzięcie weszło w „epokę sukcesu”. A że wówczas w każdej dziedzinie życia, w kulturze także, mieliśmy równać do Europy i świata, w Puławach również z tego skorzystano. Na placu budowy Domu Chemika narosły sterty materiałów: marmuru, lustra, piaskowce, konstrukcje stalowe. Słowem zgromadzono materiał cenny, solidny, tak żeby z powodzeniem mógł kilkanaście lat przeleżeć na placu budowy.

Prace budowlane postępowały niebezpiecznie i nawet chyba nie z tego

powodu, że zmniejszały się stopniowo ambicje Zakładów Azotowych w tej dziedzinie. Azoty zawsze chyba chciały mieć zaplecze kulturalne dla swojej załogi, tylko tak się jakoś składało, że najczęściej fałszywie pojmowano tu rolę i znaczenie kultury. Istniał wprawdzie przy Azotach Zakładowy Dom Kultury, ale jak zwykle w tego typu instytucjach, niewiele się tu działo. Niemrawość i nijakość Domu Kultury chciało czymś podbudować, więc w 1970 roku przy tymże Domu Kultury Azoty „zafundowały” sobie teatr. Oczywiście, nie żaden tam amatorski, lecz Studio Teatralne „Puławy”, składające się z kilku młodych, w dodatku zdolnych, absolwentów warszawskiej PWST. Szybko jednak zaczęto żałować pomysłu, bo Azotom chodziło o teatr „normalny”, a nie taki, co to wystawia Norwida i Majakowskiego, w dodatku w stylu Grotowskiego. Ponadto chlebodawcy teatru, odwołując się zapewne do oświeceniowej tradycji magnackiego teatru Czartoryskich, zażyli sobie, by Studio Teatralne było poniekąd teatrem dworskim, do „obsługiwnia” akademii, jubileuszy i choinek noworocznych. Uzasadniano takie pomysły tym, że aktorzy powinni się pokazywać załozce Azotów. Oni zaś pokazywali się, oczywiście, w przedstawieniach, ale nikt nie chciał ich oglądać. Wreszcie Studio Teatralne z wyjątkiem wyrzuceno i potem już ani teatrem, ani jakkolwiek dziedziną kultury głowy sobie nie zawracano. Kierownictwo Zakładów Azotowych nie chciało mieć kłopotu z kulturą, a robotnicy także za kulturą specjalnie nie tęsknili. Po pracy autobusy zakładowe rozwożą tu ludzi do odległych części miejscowości i nikt raczej nie myśli, by uczestniczyć w jakichś imprezach kulturalnych, i trudno się te-

Lidia Wójcik

mu zresztą dziwić. Napływowa inteligencja techniczna, jeżeli czasem chce być „bliżej kultury”, to nie spodziewa się takich możliwości w Puławach, woli udać się do Lublina czy Warszawy.

U progu lat osiemdziesiątych, gdy objawiło się widmo reformy gospodarczej, Zakłady Azotowe doszły do wniosku, że przy systemie trzech „S” nie będą w stanie utrzymać niemalej w końcu instytucji, na jaką zanosił się Dom Chemika. Przekazano zatem inwestycję władzom miejskim, które doprowadziły wreszcie do sfinalizowania trwającej 17 lat budowy, której koszty trudno nawet obecnie ustalić. 22 listopada 1984 r. dokonano wreszcie uroczystego otwarcia Puławskiego Ośrodka Kultury Dom Chemika, który będzie instytucją żyjącą z dotacji funduszu miasta. Zakłady Azotowe zadeklarowały jednak, że w miarę swych możliwości będą wspomagać tę instytucję finansowo i zastrzegły sobie prawo pierwszeństwa w korzystaniu z sali widowiskowej na urządzenie uroczystości z okazji Święta Kobiet, Dnia Chemika itp. Innych życzeń Azoty w zasadzie nie miały, sądząc zapewne, że wystarczającą porcją kultury dla robotników i ich rodzin będzie udział w choinkach noworocznych i balach sylwestrowych.

Zmiana celów i przeznaczeń Domu Chemika sprawiły, że zaczęły się od razu kłopoty lokalowe. Budynek jest już ponoć za ciasny pod względem zaplecza i pomieszczeń pracowniczych. Poza tym zaczęły się prace remontowe, wiele urządzeń zakupionych i zainstalowanych na początku lat siedemdziesiątych wymaga remontów i konserwacji, stąd dyrekcja Domu Chemika zabiega u różnych przedsię-

biorstw o tzw. dotacje celowe, na remonty i na zakupy inwestycyjne. Nie wiadomo tylko, jak długo przedsiębiorstwa zechcą świadczyć taką pomoc, a sam budynek będzie nieustannie pochłaniał niemałe sumy. Zresztą dla zaspokojenia potrzeb kulturalnych pięćdziesięcioletnich Puław ta inwestycja wydaje się zbyt obszerna. Usytuowany w centrum miasta duży i ciekawy architektonicznie budynek składa się z pawilonu wystawowego i tzw. budynku głównego, gdzie znajduje się sala widowiskowa (teatralno-kinowa) o powierzchni 410 m² i 544 miejscach siedzących, wyposażona w pełny park oświetleniowy, doskonale zaplecze garderobiane i techniczne, jakie widuje się w niewielu teatrach. Równie imponująco — od strony wyposażenia technicznego i estetycznej także — przedstawia się sala widowiskowa teatru kukielek, sala baletowa, biblioteka, sala prób orkiestry i chóru, pomieszczenia do zajęć plastycznych, sala wykładowa, kawiarnia.

Oczywiście, większość tych pomieszczeń jest na razie „w paczkach”. Nie zdołano bowiem jeszcze skompletować kadry, brak szczególnie pracowników merytorycznych. W pierwszej kolejności zatrudniono pracowników technicznych, by przejąć i zabezpieczyć budynek, potem wprowadzono administrację w liczbie ośmiu osób (chyba nie-dużo) i trzech dyrektorów. Wreszcie zaplanowano zatrudnienie trzydziestu instruktorów i tu zaczęły się, jak powiada naczelnny dyrektor Kleofas Obuch, „kłopoty kadrowe”. Trudno ponoć znaleźć w Puławach ludzi do pracy w kulturze z odpowiednim przygotowaniem. Ciągłe brakuje instruktora do tańca towarzyskiego, scenografa, instruktora do prowadzenia dyskusyjnego klubu filmowego, choreografa. Część zespołu instruktorskiego udało się już jakoś zdobyć, kilku pracowników przeszło z Zakładowego Domu Kultury Azotów. Ale nie jest to kadra w pełni przygotowana i odpowiednia do tego typu pracy. W kulturze, jak wiadomo, pieniądze zawsze były najbardziej nędzne, stąd do pracy trafiali tu ludzie przypadkowi.

Dom Chemika przejął zlikwidowane placówki Puławskiego Ośrodka Kultury i Zakładowego Domu Kultury, za-

Rację może mieć zawodowiec, ale dokonać czegoś może tylko amator, gdyż swojej sprawie oddany jest do końca.

E. G. CRAIG

W POSZUKIWANIU początków i źródeł teatru szkolnego trzeba by się odwołać aż do wieku XVI — XVII; wówczas to rozwijały się różne formy działalności teatralnej w kolegiach jezuickich i pijarskich. Teatr miał tam charakter wyraźnie religijny i dydaktyczny, ale znamienne wydaje się, że przy pomocy sceny realizowano i osiągnano inne, ważne w końcu, cele.

Szczególny rozwój i wzrost znaczenia teatru szkolnego przypada w Polsce na okres dwudziestolecia międzywojennego. Przy wszystkich niemal gimnazjach istniały wówczas teatry uczniowskie, a wiele z nich chwaliło się niezłym poziomem. Prezentowały one przedstawienia związane z ważnymi świętami i rocznicami narodowymi, jasełka i widowiska pasyjne, również lekkie komedie obyczajowe. Istniało wiele stowarzyszeń i kół młodzieży szkolnej, prowadzących działalność teatralną. Obecność teatru szkolnego zaznaczyła się również na wsi, a fakt ten związany był w dużej mierze z ruchem teatru ludowego, kierowanym przez Jędrzeja Cierniaka. To on właśnie organizował wakacyjne kursy dla instruktorów teatralnych, w których uczestniczyło zawsze wielu nauczycieli, późniejszych animatorów ruchu teatralnego w szkołach.

Po II wojnie światowej nie zaistniało już zjawisko teatru szkolnego w takim wymiarze i znaczeniu. W szkołach średnich organizowały się grupy młodzieży uzdolnionej i zainteresowanej teatrem, ale z powodu braku właściwych instruktorów i kierowników ich działalność zmierziała nie zawsze we właściwym kierunku. Szkoła chciała wykorzystywać takie grupy dla celów „praktycznych”, sprowadzając ich działalność do przygotowywania programów na akademie i uroczystości (popularne tzw. wiązanki słowno-muzyczne).

Tak rysował się stan ogólny. Oczywiście gdzieś istniały teatry szkolne o szerszych ambicjach, tworzące „prawdziwy” teatr, te jednak, choć składały się z młodzieży szkolnej, działały najczęściej przy domach

kultury i klubach — osiedlowych, miejskich, zakładowych — rzadko pod bezpośrednim patronatem szkoły. Choć ciekawe były doświadczenia Liceum Pedagogicznego w Chełmie — reżyserował Kazimierz A. Jaworski!

Po wojnie nie pojawił się też teatr szkolny na wsi; wyjątek może stanowić województwo tarnowskie, chociaż działalność młodzieżowego teatru na wsi bardziej była tu związana z kościołem, niż ze szkołą.

Po wielu latach martwoży w tej dziedzinie zainteresowano się wreszcie teatrem szkolnym „odgórnie”, ale to z powodów, zdaje

pośrednio przy szkołach: Teatr Form Plastycznych „Magapara” z Lubaczowa w województwie przemyskim, Teatr Lałkowi „Bajabajka” z Nowej Wsi w województwie rzeszowskim i Zespół Teatralny „Mrówki” z Nowego Sącza. Pozostałe teatry dziecięce, to zespoły istniejące pod patronatem domów kultury i zakładów pracy: Teatr Lałki i Aktora „Uśmiech” z Radomia, Teatr Dziecięcy Młodzieżowego Domu Kultury z Chełma, Teatr „Muchomor” Klubu Młodego Technika Wytwórni Urządzeń Technicznych z Dębicy, wreszcie Lubelska Pantomima Dziecięca Do-

w lubelskich szkołach średnich? Obecnie na przeglądzie teatru reprezentowały swoje szkoły, w których działały i wystawiają swój dorobek. Ich instruktorzy i opiekunowie, to najczęściej nauczyciele i pedagodzy szkolni. Zespoły te proponują różne formy teatralne, tworzą teatr o rozmaitych znaczeniach i wartościach estetycznych, ideowych, dydaktycznych. Przegląd ujawnił przynajmniej trzy rodzaje teatralnej działalności młodzieży szkolnej.

Pokazano przedstawienia oparte na klasycznych tekstach scenicznych, próbujące naśladować działalność teatru zawodowego,

RENESANS TEATRU SZKOLNEGO

się, dość praktycznych. Odkryto wreszcie tę wiedzę tajemną, że poprzez taką scenę można kształcić przyszłego „światłomowego wida teatralnego”, nie takiego, co to idzie do teatru tylko „z wycieczką”, z kanapkami i paczką słonych paluszków. I tak zaczęto organizować konkursy i przeglądy, dokształcać instruktorów. A wszystko to pewnie miało sprzyjać rozwojowi tego typu działalności i aż dziwne, że jak zamierzono, tak się i dzieje. W ostatnich latach istotnie wyodrębnił się fenomen teatru szkolnego. Na początek 1985 roku zaplanowano w Poznaniu drugie już Ogólnopolskie Forum Teatrów Dzieci i Młodzieży Szkolnej. Zaś w dniach 14-16 grudnia 1984 odbywał się w Lublinie Przegląd Rejonowy, mający wyłonić kandydatów na forum poznańskie.

Przebieg zorganizowano w dwóch grupach: teatru dziecięcego i młodzieżowego. Niestety, nie można było zobaczyć wszystkich przedstawień. Pomysłodawcy tej imprezy nie liczyli pewnie na żadnych widzów, poza jurorami i młodzieżą uczestniczącą w przeglądzie (bo i ktoś by tam oglądał teatrzyki szkolne), stąd zaprogramowano jednocześnie pokazy przedstawień dziecięcych i młodzieżowych, w dwu różnych miejscach.

Pośród teatrów dziecięcych znalazły się tylko trzy teatry działające bez-

mu Kultury FSC. Znamienne wydaje się, że trafił na ten przegląd jeden przynajmniej teatr wiejski, z Nowej Wsi w województwie rzeszowskim. Zarysowała się znaczna późnorodność w zakresie form teatralnych. Zaprezentowano teatr posługujący się tylko słowem i kostiumem, teatr lałki i aktora, zespoły o wyraźnej formule teatru plastycznego i wreszcie teatr pantomimy.

Niestety, z powodów już wspomnianych udało mi się zobaczyć tylko dwa przedstawienia dziecięce, przywiezione z Radomia i Chełma. Dzieci dobrze mówią tekst (w ogóle dobrze mówią po polsku, to już niemało), znakomicie śpiewają, potrafia animować lałki, a jest to sztuka wcale nietatwa, są bardzo sprawne ruchowo. Ponadto mają od-danych, wiele umiających opiekunów i instruktorów, którzy sami często przygotowują dekoracje i kostiumy. W czasach wszechobecnego niechęteństwa i nieochoty, brni to, oczywiście, mało prawdopodobnie.

W grupie teatrów młodzieżowych odbyło się osiem przedstawień. Nie znalazł się tu żaden teatr wiejski, większość to teatry z miast wojewódzkich, choć z Lublina nie było teatru młodzieżowego. Może nie istnieją takowe

tworzyć teatr iluzji. Ten rodzaj teatru szkolnego wydaje się mieć najmniejsze szanse i możliwości rozwoju. W tej kategorii pozostaje Młodzieżowy Zespół Teatralny „Akwilon” z Janowa Lubelskiego. Istnieje już od 18 lat (oczywiście, młodzież wleją się zmienia) i od początku zajmuje się szczególnie popularyzacją komedii Fredry. W Lublinie teatr zaprezentował „Wszystko dobre, co się dobrze kończy”. Nietatwa to formula teatru. Granie klasycznych tekstów, zwłaszcza komedii, wymaga wielu umiejętności, nie tylko głosowych, wiąże się również z potrzebą kostiumu, dekoracji, co w teatrze amatorskim jest nie zawsze możliwe.

Wydaje się, że największe szanse w teatrze szkolnym może mieć formula teatru poezji (oczywiście, jeśli nie ma nic wspólnego z recytacją „składanek”). Pokazano pięć widowisk przygotowanych w konwencji teatru poetyckiego, wszystkie na dobrym poziomie inscenizacyjnym i wykonawczym. Trzy z nich zasługują na szczególną uwagę. Teatr Poezji „Piejady” Zespołu Szkół Technicznych z Tarnowa zaprezentował widowisko „Missa Paganina” według tekstów Edwarda Stachury, Tadeusza Sliwiaka i Bolesława Ożoga, używając prostych środków gestycznych i prostych rekwizytów (jabłko, kwiaty, chleb), ujawniających si-

sadniejszym więc celem jego działalności ma być najogólniej pojmowane upowszechnianie kultury, które będzie upowszechnianiem dóbr kultury „wysokiej” oraz organizowanie aktywnego uczestnictwa w kulturze, poprzez tworzenie ruchu amatorskiego. Trudno oczywiście realizować zwłaszcza to ostatnie zamierzenie bez odpowiedniego zespołu przygotowanych do tego ludzi. Wszystkie poczynania w tym zakresie pozostają na razie w sferze planów i zamierzeń.

Dyrektor Domu Chemika myśli o tym, by „przejąć” istniejące już zespoły i grupy amatorskie, między innymi Puławski Zespół Teatralny i regionalny zespół pieśni i tańca „Powieśle” działający w Końskowoli. Na razie w ośrodku istnieje grupa teatralna, która przygotowuje „Proces” Kafki. Inne zespoły są w bliżej nie określonych planach. We wszystkich formach działalności kulturalnej, jakie proponuje czy planuje Dom Chemika, uczestniczą na razie jedynie młodzież szkół średnich, pomaturalnych i studiująca, a więc inteligencja, albo za datki na tak zwaną inteligencję. Młodzież robotnicza i w ogóle robotnicy Zakładów Azotowych i innych przedsiębiorstw Puław nie zagląda do kultury. Nie wiadomo tylko, czy rzeczywiście nie chcą, czy może nikt nie pomyślał o tym, by znaleźć sposób na zainteresowanie ich aktywnym uczestnictwem w kulturze. Dla robotników przewidziano raczej inną formę kontaktu z kulturą, „odbioru dóbr kultury”, czyli formę konsumpcyjną.

Dom Chemika zaprasza zatem Hanię Kunicką, proponuje program z Hanką Bielicką, lubelska operetka wystawia tam „Targ na dziewczęta”. Na tego typu imprezy zakład pracy zakupuje zbiorowo bilety, Dom Chemika zostaje tym sposobem odciążony od trudnych zajęć organizowania widowni, sprzedawania biletów, a na widowni — jak powiada dyrektor — nie ma wolnych miejsc. Taką niewybredną rozrywką najłatwiej ponoć jest zapelniać sale. Zresztą w projekcie działalności ośrodka na rok 1985 jedno z założeń programowych brzmi: „Organizowanie i upowszechnianie w środowisku różnych form rozrywki kulturalnej i innych form zagospodarowa-

nia wolnego czasu mieszkańców”. Ale niezależnie od tych postanowień zawartych w projekcie, dyrektor Obuch ma ambicje szersze, przewiduje w ośrodku rzecz ważną; edukację kulturalną. A edukacja taka powinna dotyczyć przecież poważnej strony ludzkiego życia, nie może być traktowana tylko zabawowo, rozrywkowo.

Zdarzają się zatem imprezy tzw. „ambitne”. Dotychczas zaproszono już Teatr Wizji i Ruchu, Teatr Osterwy z „Zemstą” i „Tangiem”, zespół „Śląsk”. Trudno jednak powiedzieć, czy taki akurat wybór jest właściwy i czy te imprezy znalazły rzeczywiste zainteresowanie, bo widownia była przecież zorganizowana. Zresztą, w ogóle trudno powiedzieć jaki typ kultury nale-

żałoby proponować w tym socjologicznym przekładaniu, jakim są rosące ciągle Puławy. Nie jest zapewne rzeczą prostą trafić w gusty i „starego mieszczanstwa”, i robotników, i napływowej inteligencji technicznej.

Postanowiono zatem przeprowadzić w Puławach ankietyzację, celem poznania kulturalnych potrzeb ludności, na razie nie obmyślono jednak sposobów przeprowadzenia tejże. W Zakładach Azotowych można by to chyba zrobić przy pomocy pisma zakładowego, które się tu ukazuje, ale nie ma w nim ponoć miejsca na kulturę (?).

Rzeczą niewłaściwą byłoby oceniać w tej chwili poczynania Domu Chemika, bo przecież to dopiero pierwsze miesiące. Na świeżych, lśniących par-

kietach, pośród luster, płyt z marmuru i piaskowca wszystko toczy się jeszcze niemrawo. Optymizmem jednak napawa sam fakt, że w tzw. ciężkich, kryzysowych czasach, kiedy wciąż mówi się i myśli o tym, co będziemy jeść i ile zarabiać, pomyślano w Puławach o sprawach kultury i ukończono budowę kosztownej w końcu inwestycji. I że tej instytucji zależy, na razie przynajmniej, aby Puławy nie uduławiły się azotami. Chciałoby się, żeby samym mieszkańcom Puław także na tym zależało, by uwierzyli, że kultura jest im tak samo potrzebna, jak i chleb i Azoty. Zabrzmiąło patetycznie — wiem. Cóż przywykliśmy już, by o kulturze mówić albo z patosem, albo ironicznie.



ię i wartość poetyckiego słowa i jego znaczenia. Aktorzy w białych przepasanych tunikach tworzą chóry, inscenizują wędrowanie i dzielenie się chlebem. W podobnej konwencji tworzy istniejący już od siedmiu lat Teatr Małych Form Sceniczných w Przemyślu. W przedstawieniu „Nazwanie światła” wg Tadeusza Słwiaka przy pomocy ascetycznych rekwizytów (białe płótna, kwiaty, szalik, chusta) i nieskomplikowanych środków inscenizacyjnych (zdejmowanie butów, trzymanie się za ręce) zrealizowano poetycki obrzęd zaślubin. Stworzono widowisko wypełnione urodą poetyckiego słowa i ekspresją ciała aktora.

Teatr szkolny ulega także pewnym „modom”, poddaje się urokowi literackich mitów. Dowodem tego jest obecność w dwu przedstawieniach poezji Edwarda Stachury. Spektakl według tekstów tego autora pokazał Teatr Poezji „Aspekt” Zespołu Szkół Technicznych z Rzeszowa. Poetyckie słowo Stachury, zdania brzmiące jak aforyzmy: „Człowiek człowiekowi bratem”, „o człowieka coraz trudniej”, przekazywane w formie mówionej i śpiewanej, obudowane zostały ciekawie gestami i sytuacjami (rozdawanie jabłek z kosza, podawanie świecy z rąk do rąk — dzielenie się światłem).

Trzeci wreszcie nurt działań szkolnych, to kabaret. Zaprezentowano dwie takie scenki. Istniejący od dwóch lat Kabaret „Faj” V Liceum Ogólnokształcącego w Radomiu pokazał dowcipny, bardzo lekki i sprawnie wykonany program „Antygona” z elementami satyry społecznej, zaś Kabaret „Dzyps” II Liceum Ogólnokształcącego w Puławach przedstawił program „Edukacja Narodowa”, poświęcony w dużej mierze tematyce szkolnej, pełny dowcipów, dobrych piosenek. Zespoły kabaretowe same przygotowują teksty, wykazując dużą sprawność w budowaniu kabaretowych skeczów, również w posługiwaniu się słowem i mimiką, w przekazywaniu dowcipów. A kabaret to przecież bardzo trudny rodzaj teatru.

Przebieg lubelski wyłonił najlepszych na forum do Poznania, najważniejsze jednak, że dał zespołom szkolnym możliwość spotkania się, spojrzenia na własną twórczość w kontekście innych teatrów i zasygnalizował fakt, iż teatr szkolny przeżywa obecnie swój nie najgorszy chyba czas.

L.W.

Okolice sztuki

Za ile? No i po co?

WSZYSCY rozmawiają dziś o cenach, więc nie wypada przemilczeć tej sprawy i w niniejszej rubryce, tym bardziej, że w minionym roku Wydział Kultury i Sztuki UW wydał na zakupy prac plastyków lubelskich 1 850 000 zł. Zaczniemy wszakże od pieca, czyli od lat międzywojennych, kiedy w mieście naszym, nieznanym w szeptach owego okresu około 100 tys. obywateli, zaczęło kształtować się środowisko artystyczne, a jednocześnie zanikł mecenat prywatny, nieporównywalnie już skromniejszy, niż na początku wieku.

Ile kosztowały obrazy np. w latach trzydziestych, których początki stały jeszcze pod znakiem wielkiego kryzysu? Z uciulanych, szczerbionych informacją wynika, że malarze lubelscy spodziewali się wówczas za swoje płótna nawet 350 zł. Taką właśnie kwotę pragnął uzyskać za „Martwą naturę” Szymcha Trachtera, uczestnik Salonu Zimowego 1932, urządzonego przez stołeczny Instytut Propagandy Sztuki. Wydaje się przecież, że była to cena zawyżona, albo tańcza, podpowiedziana niejako przez prestiżowy charakter miejsca ekspozycji. Rzecz w tym, że kiedy w gospodarce „drgnęło”, finansowe oczekiwania artystów lubelskich nie zwiększyły się proporcjonalnie do tego faktu. Najwyższe ceny obrazów z pierwszej wystawy związku plastyków, otwartej w 1937 roku w sali Gimnazjum im. Unii Lubelskiej przy ul. Narutowicza 12 (obecnie w posiadaniu UMCS), kształtowały się na poziomie 200-300 zł, a tylko w pojedynczych przypadkach sięgały 400-450-500 zł. Wiele prac oferowano za 20-25-30-50 zł. Dodajmy, że za 300-400 zł można było utrzymać, w ciągu miesiąca, dużą rodzinę. Inna sprawa, że poza Władysławem Filipiakiem i Antonim Michałakiem nikt z ówczesnych malarzy nie był w stanie wyżyć z twórczości. Podstawę egzystencji stanowiła praca etatowa, z reguły w szkolnictwie. Obaj wspomniani artyści, co warte uwagi, zarabiali przede wszystkim na portretach.

Po drugiej wojnie mecenat prywatny padł trupem, jego miejsce zajęło państwo, związków zawodowe, wojsko i w pewnym specyficznym zakresie — także kościół. Artyści nadal utrzymywali się z pracy pedagogicznej, od 1931 roku, kiedy powstało przedsiębiorstwo „Pracownie Sztuk Plastycznych”, zyskując przeciwko rozległej i żywej polu dochodów z realizacji użytkowych. Na swobodniejsze uprawianie twórczości warsztatowej, „czystej”, mogli sobie pozwolić jedynie wykładowcy wyższych szkół plastycznych, których dzieła dość regularnie kupowało do zbiorów państwowych.

W drugiej połowie lat czterdziestych, przed wymianą pieniędzy, malarze lubelscy wyceniali swoje obrazy na 30-40 tys. zł — z jakim skutkiem handlowym, nie wiadomo. Wiemy natomiast, że nagrody IV Wystawy Plastyków w 1946 roku wynosiły: 5000 zł (Zyngiel, Filipiak, Michałak), 3000 zł (rzeźbiarz Gosławski), 2500 zł (Kononowicz), 2000 zł (Arlitewicz-Młodożęcowa). Przy końcu tego roku, z funduszy MKiS, zakupiono po jednym płótnie czterech malarzy — za ogólną kwotę 50 000 zł. Wspomnijmy, że nagroda artystyczna WRN, przyznana w 1947 roku Filipiakowi, wynosiła 40 000 zł, podczas gdy I nagroda II Salonu Zimowego w Radomiu, wręczona Eibischowi, opiewała wtedy na kwotę 10 000 zł, co przy pewnej dyscyplinie gastronomicznej wystarczało na miesiąc. (Np. dieta delegacyjna równała się 350 zł na dobę).

Oprócz Ministerstwa Kultury i Sztuki prace plastyczne kupowały wówczas także instytucje, jak Wojewódzka Rada Narodowa, Wojewoda Lubelski, Zarząd Miejski, Kuratorium. Najwięcej wykładało ministerstwo. W 1948 roku zdarzały się i zakupy prywatne z wystaw.

W okresie realizmu socjalistycznego spore dochody czerpano z projektowania i wykonywania dekoracji okolicznościowych (święta państwowe) oraz z prac prowadzonych w ramach remontu Starego Miasta. Jeśli komuś udało się sprzedać obraz na poważnej wystawie, także mógł być zadowolony. Oto „Manifestacja dzieci włoskich” Filipiaka, eksponowana w Warszawie na II OWP w 1951 roku, przyniosła artyście 3600 zł. „Drogi” Pakulskiego, pokazane na lubelskiej okregowej w 1955 roku i będące jednym z pierwszych znaków „odwilży”, zakupiono za 2400 zł. Przypomnijmy, że przeciętne zarobki wahały się wówczas w granicach 800-1200 zł.

Po Paździelniku rynek sztuki nie zmienił się w swojej strukturze, nadal opierał się na zakupach instytucji państwowych, związków zawodowych, zakładów pracy i wojska. Obrazy wyceniano na 2-3 tys. zł, a w połowie lat sześćdziesiątych: 4-3 tysiące. Przy końcu tej dekady znany artysta mógł otrzymać w Lublinie 7 tysięcy za płótno.

W następnej dekadzie, w okresie wznoszenia „drugiej Polski” pod hasłem „bogactwo się”, ceny malowideł, grafik i rzeźb systematycznie rosły, osiągając w końcu 10-15 tys. za obraz. Pojawił się nabywca prywatny.

A potem, w czasach kryzysu, ceny płócien i rzeźb zaczęły wielokrotnie przekraczać średnią płacę krajową, i nadal rosną. O ile w 1983 roku za trzy prace Ziemskiego Wydział Kultury i Sztuki UW zapłacił po 50 tys. zł, to w roku minionym — 130 tys. za jedne „Trzy białe kola”. Z tej samej puli nabyto niedawno prace Kurzatkowskiego, Hermana i Tracza — po 50 tysięcy, Wojciechowskiego — za 50 tysięcy, Trutkowskiego — za 72 tysiące, a Kapicy — za 120 tys. zł. Dla porządku odnotujmy, że z wystawy „Nurt intelektualny w powojennej sztuce polskiej” zakupiono obraz Kajetana Sosnowskiego z Warszawy — za rekordową w Lublinie kwotę 350 tys. zł.

Co podawasz do publicznej wiadomości, wyjaśniam, że nie leży w moich intencjach zagładanie ludziom do portfeli. Dobry artysta — niech będzie milionerem! Owszem, niepokoję się, że administracyjne zakupy mają często posmak akcji charytatywnej, obejmującej i kaleką produkcję plastyczną. Najbardziej wszak martwi mnie coś innego: obawa, że podobnie jak setki wczesniej nabytych dzieł, które ogółem spokojnie można wycenić na grube miliony, i te ostatnio zakupione prace udużą się w kurzu magazynów.

IJK

PS. Ciekawostka: Jeśli od instytucji państwowej żąda się dziś za obraz np. 60 tys. zł, to znaczy, że podobne płótno tegoż autora w prywatnej galerii lubelskiej można pozyskać za połowę tej kwoty. Przypominają się przedwojenne dostawy dla wojska...

Kung - fu na ekranie

DWA lata temu przeżyliśmy ekranową inwazję Bruce'a Lee (dawno już zresztą nieżyjącego), a to dzięki filmowi „Wejście Smoka” z udziałem tego chińsko-amerykańskiego mistrza kung-fu, parającego się także aktorstwem i sięgającego nawet do reżyserii. „Wejście Smoka” ujrzało światło dzienne jeszcze w 1973 r. Sam Bruce Lee zginął w tajemniczych okolicznościach na dwa tygodnie przed premierą, co zresztą przyczyniło się jeszcze do spopularyzowania jego „legendy”. Spóźnione o dobrych kilka lat „odkrycie” tego ostatniego filmu Bruce'a Lee było swoistym wstrząsem dla naszej młodocianej widowni; notabene było to także jej pierwsze spotkanie z Bruce'em Lee na ekranie. Dzisiaj nie mniejsze sukcesy kasowe święci wyświetlany w Polsce „Klasztor Shaolin”, choć oglądanie tego filmu nie stwarza już sytuacji z pogranicza zbiorowej hysterii.

„Klasztor Shaolin”, zrealizowany w 1982 r. przez chińskiego reżysera Chang Hsin-yena, jest wynikiem koprodukcji kinematografii Hongkongu oraz Chińskiej Republiki Ludowej. Występujący w nim aktorzy to w przeważającej większości „naturalszyce”, mistrzowie kung-fu z CHRL. Wielokrotnym mistrzem kung-fu w swoim kraju jest grający tutaj czołową rolę kandydata na mnicha (niezwyciężonego „Shiu Hwu, który przyjął imię Guo Yuen”) młodzieńca, dwudziestoletniego Li Lien-cie, występujący pod pseudonimem Jet Lee. Poza genialną techniką walki, która prezentuje na ekranie, Jet Lee ujawnił autentyczny talent aktorski. I może z czasem usłyszymy o nim także jako o aktorze nie tylko filmów kung-fu...

Gatunek filmowy, do którego należą: „Wejście Smoka”, „Droga Smoka”

(film pokazany kilka tygodni temu w TVP, reżyserowany przez Bruce'a Lee) czy też „Klasztor Shaolin”, ma stosunkowo niedługą historię. Zrodzony w Hongkongu, początkowo jako niezauważana na światowym rynku filmowym specjalność lokalna, zaczął znajdować miejsce na amerykańskich i zachodnioeuropejskich ekranach dopiero na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Produkcją tego rodzaju filmów zajmowali się wówczas w Hongkongu głównie bracia Shaw, RunRun i RunMe. Powstawały z czasem ateliery filmowe, ukierunkowane tylko na kreowanie w nich filmów kung-fu — w Singapurze, w Malezji; potem ów specyficzny przemysł filmowy zaczął kwitnąć na Tajwanie, w Korei Południowej, w Japonii... Od początku lat siedemdziesiątych kręcone tam filmy zaczęły ze skutkiem wypierać z japońskich ekranów — nie pokonane dotąd przez żaden inny gatunek — filmy samurajskie. Tak narodził się, nie mający sobie podobnych, cały gatunek filmowy, posiadający „swoich” reżyserów i producentów, „swoich” aktorów oraz „swoją” publiczność.

Akcja „Klasztoru Shaolin” dzieje się w kilka wieków po założeniu klasztoru, za czasów dynastii Tang, panującej w latach 618-906, kiedy to wykształca się już Shaolin-szu-kempo — sztuka walki z Shaolin”. Pewnego dnia do klasztoru przybywa młody chłopak zbiegły przed terroryzującymi okolicznościami cesarskimi dowodzonymi przez okrutnego „generała” Wangu. Shiu Hwu (Jet Lee) poznaje życie toczące się w klasztorze, zaprzyjaźnia się z mnichami i ich mistrzem kung-fu Tan Chuangliem, wreszcie sam postanawia zostać mnichem. Ale tutaj sytuacja się komplikuje, bo nasz bohater poznaje najpierw piękną pasterkę Pei Hwu Sha —



„Czysty Nefryt”, a następnie pomaga niejakemu Talcongowi, który okazuje się być, pod koniec filmu, cesarzem uciekającym przed rebeliantami.

Tak oto — w ogólnych zarysach — prosta i niezbyt skomplikowana fabuła będzie się rozwijała aż do szczęśliwego finału, stanowiąc przede wszystkim kanwę dla rozgrywających się na ekranie niezliczonych pojedynków oraz zbiorowych scen walki. Bo przecież właśnie o to chodzi w filmach kung-fu czy karate: o pokazanie fenomenalnej techniki walki. Ogólna dramaturgia filmu, fabuła — to sprawy drugorzędne. Poza popisami mistrzów sztuki kung-fu liczy się tutaj także reżyseria samych scen pojedynków, technika zdjęciowa, dynamiczny montaż — i te sprawy są także doprowadzone w „Klasztorze Shaolin” do niezwyklej perfekcji. Inaczej niż w „Wejściu Smoka” — nie ma tutaj nadmiaru makabry, łamania kości i kręgosłupów na wszelkie możliwe sposoby, i w ogóle — apoteozy gwałtu i przemocy. „Klasztor Shaolin” jest filmem „czystym” w swoim rodzaju, jak „czy-

ście” były stare, klasyczne westerny, w których dobro zawsze zwyciężało zło, a uczciwi ludzie nie traciли swego człowieczeństwa przy zetknięciu się z łajdakami. I choć trup padał gęsto, było to przez widownię przyjmowane jako oczywista umowność, swoista „reguła gry” pomiędzy reżyserem i aktorami a widownią, nie zaś — zachęta do wyjścia po seansie na ulicę i zastrzelenia pierwszego napotkanego na drodze przechodnia.

Nie będąc zwolennikiem filmów, gdzie się łamie ludzom karki, przedkładam przecież stanowczo „Klasztor Shaolin” nad filmy w rodzaju „Wejścia Smoka”. W dodatku „Klasztor Shaolin” to także piękne zdjęcia plenerowe, wspaniale sfotografowana architektura starego, zabytkowego klasztoru, to z pięctwem odtworzone starożytności stroje i obyczaje.

I to się także w tym filmie liczy!

M.D.

Pana Stasia przygody z pięściarstwem

Dokończenie ze str. 1

Kiedy już wszyscy kończą swoje zajęcia w bokserskiej sali, pan Stasio orzeka się do specjalnego pokoiku, który nazwałbym konfesjonalem, chociaż spowiedzi w nim nie ma. Stasio masuje swoich ulubieńców, a tak przy okazji przypomina im stare dzieje, opowiada dawne dowcipy, na poczekaniu potrafi wymyślić nowa, pokazuje różne sztuczki. Czy ja wiem, a pana Stasia chyba więcej tego psychicznego, aniżeli fizycznego masażu!

Lubię słuchać Stasia, a znam go szmat czasu, chyba od 1952 roku, kiedy to przyjeżdżał do mojego rodzinnego Zamościa i w liceum im. Jana Hetmana Zamoyskiego przy ulicy Akademickiej udzielał mi i moim przyjacielom lekcji boksu. Był dla mnie wówczas starszym wesołym panem, który promieniował jakimś żarem, pasją, miłością. Spotykaliśmy się chyba raz w tygodniu, ale na ten jeden dzień my, licealiści, czekaliśmy z niecierpliwością. Jakoś wtedy „nie kojarzyłem”, że po latach spotkamy się znowu, inaczej; on dalej w tej samej roli, ja jako młody dziennikarz i dziennikarz. I tak już zostało: ja się starzałem, pan Stasio ciągle był taki sam. Pogodny, wesoły, jakże przyjazny otaczającemu go światu i ludziom.

Stanisław Zalewski. Postać wiele znana i popularna w sportowym świecie. Był pięściarzem, organizatorem boksu, trenerem, masażystą. Człowiek, który jednym lechem wymienia swoje kolejne olimpiady, kolejne mistrzostwa Europy, swego wielkiego nauczyciela, pana Feliksa Stamma, przyjaciel z różnych epok wielkości polskiego pięściarstwa. Był przy ich narodzinach i największych triumfach, a i nie opuszczał swoich młodych, o wiele młodszych przyjaciel, gdy — jak to w życiu — spadali w dół.

Myślę, że dzisiaj, gdy żyłowa droga Stanisława Zalewskiego nie jest już tak dynamiczna jak dawniej, gdy Stasio zmęczony

można przebyła chorobą nie pracuje tak wydajnie, warto przypomnieć jego barwne losy. A może inaczej, może przypomnieć dzieje, których on właśnie był współtwórcą!

Z dziesiątków rozmów, jakie prowadziliśmy: w Lublinie, w Warszawie, w cętniewskim ośrodku sportowym, podczas licznych wояжy krajowych i zagranicznych, wyłania mi się obraz człowieka, który do teraz nie wie o bezczynności.

— Urodziłem się tu, w Lublinie, w 1916 roku, w tym samym domu, w którym teraz jesteście — mówił mi kiedyś. — Najpierw grałem w piłkę nożną, jak każdy chłopak, podawałem piłki na korcie WKS „Unia”. Wkrótce zostałem członkiem tego klubu. W roku 1930 starszy sierżant o nazwisku Heindrich zaczął w „Unii” uczyć walki na pięści. Byłem wówczas gońcem w jednej z lubelskich drukarni. Uczyłem się przy tym zawodu zecera i nie zawsze miałem czas na trening, ale boks mi się spodobał. Walka na pięści zafascynowała mnie na tyle, że wykorzystywałem każdą chwilę, by być na sali i nie zostać w tyle za moimi kolegami z podwórka. Myślę, że ta moja pasja wynagrodzona została pierwszymi sukcesami. W 1936 zostałem mistrzem Lublina, a tytuł ten zdobyłem także w roku następnym. Wtedy to po raz pierwszy zamaryłem, by wystartować w mistrzostwach Polski. Pojechałem w 1937 roku do Poznania, gdzie w cyrku „Olimpia” dotarłem do półfinału. Przegrałem z Zygmuntem Kozłolkiem i miałem walczyć o trzecie miejsce. Niestety, do walki nie doszło, warszawiak „Teddy” Pietrzykowski doznał kontuzji i ten brązowy medal przypadł mi bez koniecznego wysiłku. Pamiętam jak dziś, cieszyłem się z sukcesu i pocieszałem „Teddy'ego”, że jeszcze dam mu rewanż...

Boksowałem z niezłym skutkiem. Aż do wojny. Dzisiaj, po tylu latach, zaciera się już wspomnienie, ale nikt nie wydrze mi z pamięci tych pierwszych wojennych dni. Kiedy wojska niemieckie wkroczyły do Lub-

lina, potajemnie zakradłem się do opuszczonego już Donu Zobierza i — zgadnijcie, co zabralam? Jak to co? 16 par bokserskich rękawic i dwa stopery. To był mój sportowy skarb. Jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, że te moje i kolegów rękawice wpadną w ręce wroga.

Mineły pierwsze dni zawieruchy, trochę uspokoiło się. Jeździłem wtedy pod Lublin, niedaleko, zbierałem chłopaków, nastolatków i na łakach, w ciepłe jeszcze jesienne dni, uczyłem ich walki na pięści. Doprawdy nie wiem, co mnie do tego gnalo. Pasja do boksu, chęć załapanowania młodym, a może jeszcze coś innego? Pan Stamm, którego poznałem w 1938 roku na kursie trenerskim w Poznaniu, zawsze powtarzał nam: sprawność fizyczna, panowie, sprawność jest potrzebna w życiu. Może właśnie chciałem, by ci „moi” chłopcy z podlubelskich łak byli sprawni, jak ja...

Sprawność fizyczna nie na długo Stasiowi się zdala. Już w 1940 roku został aresztowany i sześć miesięcy miał wyrwane z życiorysu — jakby to dzisiaj powiedziała młodzież. Te sześć miesięcy, przesiedziane na Zamku, były straszną szkołą życia.

— Jakoś udało mi się wyrwać z tej katorżnicy — opowiadał Zalewski. — Miałem się różnym robot, cały czas mając przeświadczenie, że i tak Niemcy mnie dopadną. Myślałem sobie — co ma wisieć nie utonie. Maja mnie „zwinąć”, to i „zwinąć”. Pogram sobie z nimi w chowanego Oni mi przysyłałi kolejne karty na roboty do Niemiec, a ja jechałem spokojnie do Zemborzyc. Jakoś nie chciało mi się korzystać z „aproszeń” Arbeitsamtu. Handlowałem, czym się dało, także bronią. Gdzieś na jakimś targowisku, takim, gdzie można było sprzedać i kupić wszystko, od igły do armaty, przyłapano mnie. Był rok 1943, rok strasznego terroru. Ani się Niemcy obejrzel, a już mnie nie było. Uciekłem i zrozumiałem, że nie mam po co wracać do Lublina.

Co mógł zrobić młody człowiek na wojnie, bo uciekłem do znajomych do Zemborzyc? Zgadnijcie... Paszałem krowy! Od czasu do czasu kontaktowałem się z mamą, kolegami, głównie sportowcami.

— Stasio — pytam mojego rozmówcę — przypomnij, jak to było z tym nicoodziennym meczem Lublin — War-

szawa w maju 1944 roku. To zaisie, najdziwniejszy mecz w historii polskiego boksu. W czasie okupacji?!

— Wiaśnie. Z jednej strony wojna, z drugiej sport, który był przecież zakazany. Niemcy bali się zgromadzeń Polaków, tłumów, zespolenia ludzi. Ale sport był. Na przykład w Warszawie organizowano mecze piłkarskie w peryferyjnych dzielnicach, a nawet mecze bokserskie w restauracjach, gdzie wstęp mieli tylko Niemcy. Np. w „Melodii” na Karowej kilkakrotnie toczono walki bokserskie. Chłopaki zarobili parę groszy, spotkali się, powspominali dawne dobre czasy. Tak było i wtedy w Lublinie. Nie ja byłem organizatorem majowego meczu. Dowiedziałem się o nim od chłopaków, którzy sobie tylko znany fortellem zatatwili zgodę władz niemieckich na mecz Lublin — Warszawa w sali kina „Apollo”. Przewidzieli, że mam boksować ze znanym warszawskim pięściarzem, a potem trenerem, Smiechem.

Dralowałem z Zemborzyc pieszo do Lublina, oplotkami, by mnie nikt nie rozpoznał; bałem się przecież aresztowania. Przybiegłem do kina wprost przed meczem, przywitałem się z kolegami, powalczyłem dziesięć minut, wygrałem i natychmiast, nawet nie myjąc się, powróciłem na wieś. Dopiero po pewnym czasie dowiedziałem się, że mecz wygraliśmy...

Pan Stasio miał rację, że uciekł. Zaraz po meczu Niemcy aresztowali parę osób, w tym znanego lubelskiego pięściarza Zielińskiego.

Stanisław Zalewski dalej paszał krowy w Zemborzycach, aż do wyzwolenia. Nie wiedział, że już niedługo, w sierpniu 1944, zorganizuje inne zawody, chociaż w tym samym miejscu, w sali „Apollo”. Ale to już zupełnie inna historia, o której opowiem następnym razem.

Lucjan Olszewski

POLEMIKI

PAN Franciszek Piątkowski na łamach „Sztandar Ludu” („Młot na czarownicę albo krytyk pościgowy” 1985 nr 21) dał odpór wybranym kwestiom mojej publicznej wypowiedzi, nie wspominając wszakże, do kogo gadałem w czynie społecznym przez 6 minut, które pozwoliły mi na zbudowanie sporego tekstu za jakieś 2000 zł. No cóż, nasz inżynier dusz ludzkich wiedział, co robi. Gdyby bowiem ujawnił, że wypowiadałem się, jako bezpartyjny gość, na plenum KW PZPR, które poświęcono kulturze lubelskiej, to czy wówczas mógłby zamknąć swój artykuł aluzyjnym pytaniem o różnice między informowaniem a donoszeniem? Jeśli jednak za donos niekiedy w Lublinie uważają każdą uwagę krytyczną, skierowaną osobiście i publicznie m.in. pod adresem animatorów danego spotkania i zainteresowanych instytucji, których przedstawiciele byli przytomni owemu wystąpieniu — no to ja, panie Piątkowski, udaję się do Abramowic gdzie wspólnie z chórem pensjonariuszy recytuję pańskie teksty, by osiągnąć ten stan błogosławionego otępienia, jaki daje też kuracja przy pomocy prądu elektrycznego.

Niewykluczone wszakże, że pomijając milczeniem specyfikę miejsca mojego wystąpienia, pan Piątkowski pragnął zepchnąć polemikę na tory bezpieczniejsze, jakby osobiste, o czym świadczą również niektóre zdania jego publikacji. Elegancja owego manewru pozostawia wiele do życzenia, ale ważniejsze, że tym sposobem wyprowadzono w pole i czytelników „Sztandar”. Pozbawiwszy ich wiedzy o funkcjonalnych powiązaniach sprawy oraz osoby dziennikarza tej gazety z organizacyjno-pryncypialnym kontekstem „incydentu”, pan Piątkowski zdaje się mieć tych ludzi za niegodnych wtajemniczenia, no za tumanów po prostu. Prywatne furie powinno się spalać w odosobnieniu, np. „na stronie”, proszę pana.

Ciągle cytując różnych badaczy i roczniki statystyczne, w niektórych kręgach środowiska Lublina pan Piątkowski uchodzi za sztandarowego encyklopedystę, co nawet jak się okaże, wzruszające. W wiadomej publikacji również stara się bardzo, by nie zbrukać takiej swej wizytówki. Przywołując liczne i pochlebne oceny autobiograficzne opowieści „Zywot protopopa Awwakuma”, z przewrotną skwapliwością podsuwając mi pod oczy stosowne opinie historyków i pisarzy radzieckich — Piątkowski ustawia mnie w roli gruboskór-

tego ignorantą, no i czeka na oklaski przy otwartej kurtynie

A ja, ostupały, biję mu brawo — ale głównie za przebiegłość, godną starego sapersa Vodiczki z mądrej opowieści o Szwejk Rzec w tym że nigdy jeszcze nie kwestionowałem wartości artystycznej i poznawczej „Zywota”, czy prawa teatru w Gardzienicach do swobodnej, kierowanej szerszym pożytkiem samorealizacji. Stwierdziłem natomiast ironicznie, że rzecz raskolnika z XVII wieku, który „wypowiedział walkę wszelkiej władzy ziemskiej, od patriarchy do cara, w imię starej wiary, w imię prawd najwyższych” — cytuję z publikacji szefa Gardzienic w sierpniowym nr. „Dialogu” z ub. roku —

gów bywa wydobywanie trupów przeszłości w pełnej ich kubaturze.

Z tekstu pana Piątkowskiego wynika, że nie interesuje go problem historycznej zmienności tzw. wymowy czy recepcji ideowo-politycznej dzieł sztuki, lecz pochłaga go głównie sztuka, czysta estetyka i zagraniczne sukcesy ambasadorów polskiej kultury (inspirowanej np. tradycjami carskiej Rosji), które zdaje się uważać za miarę wartości rodzinnych zjawisk artystycznych, manifestując tym samym kompleksy człowieka z prowincji. Pociąg ma zatem tyle plekny, co anachroniczny — w czasach, kiedy samych artystów bardziej wabi etyka, polityka i anarchizm, niż estetyka.

czesnej (trzy wydania) A. Kotuła i P. Krakowskiego. Wszędzie tam występuje tylko „realizm socjalistyczny” nie ma natomiast śladu po ironicznym „sorealizmie”. Doprawdy, czy popelniam błąd polityczny lub towarzyski, domagając się odrobiny szacunku dla artystów, którzy kreowali realizm socjalistyczny — w dobrej mierze wierze, choć z miernym często skutkiem?

Istota sprawy spoczywa nie tyle w samym fakcie użycia terminu „sorealizm”, co w ideowej specyfice kontekstu, w jakim termin ów został przywołany w Lublinie.

Encyklopedysta wiedzieć też powinien, że „sorealizmu” nie ma w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN i w Encyklopedii Popularnej PWN, wydanej w 1982 roku i definiującej jedynie „realizm socjalistyczny”. Co to znaczy?

Rozumiem, każdy popelnia błędy, które można przecież wyeliminować w procesie systematycznej edukacji. Biorąc jednak pod uwagę, że pan Piątkowski, mówiąc żargonem pedagogicznym, jest już nieco „przerobiony”, zamiast na moje seminarium, gdzie miałby miejsce w pierwszej ławce, zapraszam go do „Lotosu”. Tamże, w atmosferze pojednania narodowego, podam mu stosowną lekturę oraz wyjaśnię, dlaczego pieśń „Boże, coś Polskę”, ułożona niegdyś na cześć cara, śpiewana jest dziś w zupełnie innych intencjach.

Wcześniej proszę wszakże przeczytać i zanalizować — posługując się wskazówkami Barthesa, Adorno, Bachfina, Eco, Szklowskiego, Jakobsona, Eliadego, Wiśniaka (lub Bimbersteina) — taką oto opowieść starego sapersa Vodiczki:

„Był tam (na przesłuchaniu — IJK) jakiś człowieczek, a gdy się go audytor zapytał, czym jest w cywilu, odpowiedział: „Dymam u Krzyża”. Przez pół godziny trzeba było z nim gadać, zanim wreszcie audytor dowiedział się, że ten poczciwiec obsługuje miechy u kowala Krzyża. A gdy go po chwili zapytali: „Więc w cywilu jesteście robotnikiem pomocniczym?” A ten swoje: „Jakim tam robotnikiem. Dymam u Krzyża”.

Ireneusz J. Kamiński

PS. W odpowiedzi na ploty, które w „Sztandarze Ludu” z dnia 2-3 lutego rozpowszechnił p. Stawicki, oświadczam tylko tyle, że ani ręką, ani słowem nie przykładałem do urzędzenia wystawy „Malarze lubelscy w 40-lecie PRL”. Osoby, które wbrew faktom będą próbowały publicznie czy prywatnie, pomawiać mnie o takie czy inne postępy, bez względu na technikę takich insynuacji, poprowadzę do pani Temidzi (także dziennikarskiej), by przedlażnęła je paragrafem — na początek po pupie, ze względu na niedojrzałość „kolporterów”.

I jeszcze: nie tylko zawartość, ale i nazwa wspomnianej wystawy „wspiera” się na niewiedzy. Otóż termin „PRL” został konstytucyjnie przyjęty dopiero w 1952 r., a więc nie można go stosować w odniesieniu do całego powojennego 40-lecia naszego państwa.

Z notatnika

Dokończenie ze str. 2

Mógłbym temat ciągnąć, może jeszcze do niego wrócić, gdy wytoczysz kolejne działo, ale dla mnie jest rzeczą bezdyskusyjną, skąd właściwie rozlega się „łazgot z magla” (Twoje słowa!). A kiedy w innym miejscu stwierdzasz: „bom już nie dziewczyna”, szczerze żałuję: prakki o nazwie „Francia” były znakomite!

Na razie życzę jednak i Tobie dalszego pielęgnowania dobrego samopoczucia. Ja je — i tu się z Tobą zgadzam — rzeczywiście mam nie zmieniam redakcji, nie zmieniam funkcji, nie zmieniam też poglądów (co ewent. możesz kiedyś wykorzystać bo ponoć tylko krowa poglądów nie zmienia...).

Już bym skończył, bo i tak poświęcamy Ci w „Kamieniu” nieproporcjonalnie wiele miejsca, choć raz można, ale muszę jeszcze kilka słów wypowiedzieć na temat takiego Twojego stwierdzenia, którym chciałeś „Kamień” i mnie „dolożyć” szczególnie. Piszesz mianowicie tak: „Ośmieszający

„Kamień” przykład z pouczeniami udzielanymi „Tygodnikowi Zamojskiemu” w początkach jego istnienia (proszę dziś porównać nakłady „T. Z.” i „Kamienia” oraz zawartość treści na łamach tych pism) nie nauczył „Kamienia” niczego”.

Franusiu, przypomnę Ci, że „T. Z.” ma stron szesnaście, ukazuje się raz na tydzień, w miesiącu tych stron jest więc co najmniej (co najmniej, bo w niektórych miesiącach ukazuje się pięć numerów) 64. „Kamień” ciągle jest dwutygodnikiem (czyżby niektórym na tym zależało?) i ma stron dwanaście, czyli 24 w miesiącu. Chyba umiesz liczyć, ale na wszelki wypadek przypomnę Ci, że 64 minus 24 to 40. O tyle stron więcej od „Kamienia” ma miesięcznie „T. Z.”. Dodam że „T. Z.” jest jedynym pismem ukazującym się w województwie: w Zamojskiem nie trzeba kupić ani „Szt. L.” ani „Kurier”, aby mieć i program TV i repertuar kinowy i obwieszczenia o karach nakładanych przez kolegią chuliganom (ta ostatnia rubryka przydałaby się czasem i w „Kamieniu”).

Ja Ci, Franek, powiem coś jeszcze: „Tygodnik Zamojski”, regionalny przecież, ma większy nakład niż ogólnopolski tygodnik „Tu i Teraz”. Czy

to ma świadczyć o tym, że „T. Z.” jest lepszy od „TIT”? Po prostu oba te pisma są inne i mają różnych czytelników, jak też i inną funkcję spełniają, trudno je porównywać. Nie bądź więc, Franek, demagogiem, bo po prawdzie to być Ci nim nie wypada!

Jeśli zaś chodzi o to, że kiedyś tam „Kamień” krytycznie napisała o „T. Z.”... Faktycznie, jakieś pięć lat temu wydrukowaliśmy list czytelnika, który miał uwagi pod adresem „T. Z.”. Obecnie nazwisko tego samego czytelnika spotykam nie gdzie indziej, ale właśnie na łamach... „T. Z.”. Pisuje tam artykuły czyli ówczesny tekst wcale mu nie zaszkodził! Najwyraźniej w „T. Z.” są ludzie mniej pamiętliwi od Ciebie, Franek. (Piszę delikatnie „mniej pamiętliwi”, bo znów powiesz że „Kamień” obrzuca „epitetem na pograniczu inwektywy”). Wyglądałoby na to, że Twoja lektura ciągle jest tylko „Swierszczyk”, a przejrzyli kiedyś, jak ujadają na siebie poszczególne tygodniki — zarówno te z proletariuszami jak i bez nich (obok winiety tytułowej). My w „Kamieniu”, jak dotąd, jesteśmy łagodni jak owieczki, ale, gdy ktoś na nas naskoczy, dłużni nie jesteśmy i nie będziemy.

A swoją drogą Ty, Franku, zacząłeś lać lzy krokodyla nad naszym pismem dopiero po wypowiedzi IJK na plenum; wygląda na to, że po niej właśnie gorączkowo i nerwowo kartkowałeś zsywkę „Kamienia” Wniosek? Nie posądzam Cię, mimo wszystko, abym musiał stawiać kropkę nad „I”.

Zamiast tej kropki wysyłam Ci pocztą pastylkę relanium. Połknij ją zanim ewent. zasiadiesz do następnej kopaniny, przepraszam — pisaniny. Stwierdziłeś, że chcesz pożyć („Choćby w grawdole byle nie w „Kamieniu”) Artykułów o „Kamieniu” nie piszesz jednak bezinteresownie. Żyjesz więc nie w „Kamieniu” ale częściowo z „Kamienia” prawda?

Pozostaje z szacunkiem jako wierny czytelnik Twoich tekstów — obecnych i dawniejszych, w Białymstoku powstałych.

„Naprzód pierś podaj naga, niech flaga na niebo zawiewa! Kto tam znów rusza prawa? Lewa! Lewa! Lewa!”

To, Franku, Majakowski w przekładzie Sionimskiego!

M. A. Jaworski

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjne oraz Anna Socian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasłowski (kierownik działu literackiego) Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyczny) Redaktor techniczny — Ewa Dybek korektor — Barbara Caban. Red. nie odpowiada za treść materiałów zamieszczonych zastrzeżeniu sobie i krótko w sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 16-18. Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze (RSW) „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 333-34. Druk: Lubelski Zakład Graficzny im. PWN w Lublinie ul. Ontyka 4. Adres redakcji: 20-030 Lublin ul. Skłodowskiej 12. Telefon: sekretariat redakcji naczelnego z-ca redaktora naczelnego 255-93, sekretarz redakcji 338-93, dział publicystyki i literacki 333-33. Korrespondenci: proszę kierować listy nad adresem 20-956 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.



— 7 —

NAGLE rozległ się idiotyczny śmiech. Do dyżurki wkroczył nowy milicjant, taszcząc przed sobą malutkiego człowieczka w zielonym kapeluszu. Człowieczek wyrwał się na środek izby; zatoczywszy się gwałtownie, spojrział na sierżanta i krzyknął tryumfalnie:

— Trójeczka, tak?
— Zgadza się — powiedział sierżant.
— Dawna jedynka, tak?
— Zgadza się.
— Ulica Bednarska dwadzieścia trzy, tak?
— Wszystko gra — powiedział sierżant. — Jak zwykle, obywatelu Rybicki. A teraz rozbierajcie się.

Człowieczek znów zachichotał, potem rzekł:
— Sierżancie, wiedziałem, że tak będzie. Na trójkę zawsze trafię. Cóż ja zrobię? — krzyknął, zwracając się z blażeńskim gestem do Kuby. — Zona mi umarła. Mogę być pijany czy nie?
— Uspokójcie się, Rybicki — powiedział sierżant. — W zeszłym tygodniu obchodziliście śmierć ukochanej córki, tak?

— Zeszłego pierwszego — powiedział milicjant, który przyprowadził człowieczka — też miał stypę po żonie. Nawet mi fotografię pokazywał, tylko coś mu się pokręciło, bo tam był lisy facet z wąsami. Pamiętam, że jeszcze ze trzy miesiące temu też opłakiwał śmierć ukochanych bliźniaków.

— Widocznie ma wyjątkowo zły rok — powiedział sierżant. — No, Rybicki! Rozbierajcie się!

Człowieczek zaczął się rozbierać bez protestu. Wyciągnął wszystkie dowody; potem wyszczerbił grzebyk, chusteczkę, tandetny scyzoryk, lustro, wszystko to poukładał skrupulatnie przed sierżantem i zapytał:

— Paseczek też?
— Oczywiście — powiedział sierżant. — Oczywiście... Przecież wy wiecie, Rybicki, że tu jest stara, kochana trójka, gdzie na dechy idzie się bez paseczka. Paseczek to rzecz niebezpieczna w tym stanie; można sobie ukłucieć pętelkę, a co by wtedy zrobiły te wszystkie groby waszych żon? Kto by kolo nich chodził? No, Rybicki, powiedzcie...

— Zgubiło mnie szczęście do kobiet — powiedział człowieczka. — Snurowadelka też?

— Snurowadelka nie.
Człowieczek zaśmiał się krótko.
— Nie zgine na trójce, co sierżancie? — zapytał.
— Nigdy.

Odprowadzono go do celi. W drzwiach zasalutował sprężysto. Potem rozległ się trzask zamka i zaraz potem śpiew. Człowieczek śpiewał: „Nocą nad brzegiem rzeki siedziałem z gitarą...” Głos miał zdarty i brzęczący. Sierżant powiedział:

— Śpiewa „Andaluzję”. Tak jak zwykle. Zaraz będzie miał atak. Założyliście amerykańki?

— Tak — powiedział milicjant. — Ręce i nogi. Żeby sobie tylko lba nie rozwalili... Może zadzwonić po pogotowie?

— Nie przyjada — zmęczonym głosem powiedział sierżant i stuknął papierosem o stół. — Gdyby chcieli jeździć do każdego delirika w mieście, to by była dopiero ładna historia... — Wstał, przeciągnął się i podszedł do okna. Na dworze było już szaro; brudny zmierzch klebił się w ulicach. — Cholera — powiedział sierżant, zapalając papierosa. — Amerykanki, komisariaty, mandaty... Co to wszystko da? Więcej nadziei, więcej radości miastu? Niech to diabli wezmą.

Odwrócił się od okna i podszedł do bariery. Był wysoki; twarz miał złą i zmęczoną. Stanął przed Kubą i patrząc na niego z niesłychaną pogardą, powiedział:

— Kiedy byłem w partyzance, myślałem, że jak skończy się ta cała zabawa, będziecie inaczej żyli. Na myśl mi nie przyszło, że zostanę sierżantem milicji i że będę musiał odbierać wam paski. Niech was wszyscy diabli porwą...

Wtedy rozległ się straszny, zwierzęcy ryk. „Yyyy — wył człowiek za ścianą. — Yyyyy...” Głos jego przeszedł w ton tak wysoki, że wszystkim mróz przebiegł po plecach. Tramwajarz pobił; jego młodszy kolega mrugał bezradnie oczami jak człowiek nagle oślepiiony światłem.

— Zaczęło się — powiedział sierżant. — Boże, żeby można mu było zamknąć mordę... — Popatrzył na Kubę przekrwionymi z bezsenności oczyma i zapytał: — Gdzieście się upili?

— Nie jestem wcale pijany — powiedział tramwajarz i wzruszył ramionami.

— Nikt nie jest pijany — z trudem powiedział Kuba. Drżały pod nim nogi. — To moja wina. Ja uderzyłem tego człowieka — wskazał ręką na kolegę tramwajarza.

— O co wam poszło?

— O nic.

— Więc dlaczego pan go uderzył?

— Zdenerwowałem się.

— Słuchajcie, obywatelu — z gniewem powiedział sierżant. — Mogłbym was wszystkich potrzymać, aż byście się nie nauczyli chodzić po ulicy. Zapłacicie mandat i półdzieci do domu. Ale nie chcę was tu widzieć dzisiaj; teraz pewnie półdzieci się pogodzicie, tak to już bywa. Rozumiecie, obywatele?

Nie zdążyli odpowiedzieć. Drzwi dyżurki otworzyły się gwałtownie. Do środka, szamocząc się z pijanym mężczyzną, wkroczyło dwóch milicjantów. Mężczyzna wyrwał się gwałtownie, szarpając i odpychając. Oczy miał szalone, nabiegłe krwią.

— Łapki — syknął jeden z milicjantów. Podskoczyło ku niemu dwóch jeszcze i z trudem nałożyli kajdanki. Pijany charczał i pluł. „Czolo miał potłuczone, usta — rozcięte. Rozdarta koszula ukazywała spoconą, zarośniętą pierś.

— To Polska Ludowa tak robi? — krzyknął patrząc na wszystkich z nienawiścią. — Przeklinam!... — Podniósł głowę do góry; długo patrzył na zegar i nagle powiedział: — Chamy mnie związali dziś o trzeciej. Staśka Kołaczewskiego z Woli...

— Jesteście wolni — powiedział sierżant. Wyglądał na człowieka bardzo zmęczonego; powieki mu opadały na oczy, garbił się. — Jesteście wolni — powtórzył i odwrócił się.

„Yyyyy” — dobiegało zza ściany; krzyk przeszedł w jęzgot, potem rozległo się ciężkie uderzenie i zapadła cisza.

Kuba, tramwajarz i Janek odebrali dokumenty i wyszli przed komisariat. Palily się już latarnie. Ulica była pusta. Od Wisły ciągnął lodowaty wiatr. Janek powiedział:

— Nie miej pan żalu.

— Nie mam żalu — powiedział Kuba i wzruszył ramionami.

Tramwajarz rzekł:
— Teraz jest dziesięć po trzeciej. Na piątą idę do roboty. Możemy się napić. — Uśmiechnął się do Kuby i dodał: — U mnie jesteś pan charakterny chłopak...

— Dziękuję — powiedział Kuba. — Niestety, nie mam czasu.

— My idziemy w tamtą stronę — powiedział młodszy, nie patrząc na Kubę. — Niech to wszystko szlag trafi.

— Tak — potwierdził Kuba. — Niech to wszystko szlag trafi. Do widzenia.

Odszedł zasalutowawszy i prawie biegiem parł przed siebie. Był wypełniony jedną, jak ściśniętą żyłą pulsującą myślą, że natychmiast — dopóki wszystko, co przeżył, jest jeszcze dostatecznie silne i usprawiedliwiające, dręczące i straszne, dopóki nie ochłonie, nie opamięta się, nie zastanowi — musi napić się wódki. W tej chwili czuł wielką wdzięczność do świata, do dzisiejszego dnia i do ludzi, którzy wpechnęli go w to; w jego sumieniu otworzyła się furtka, przez którą mógł wyrzucić wszystko, co było mu w tej chwili nieprzydatne, wszystko, co przeszkodziłoby mu się napić. Czuł wielkie, aż rozsadzające piersi, bolesne szczęście; owo dziwne szczęście upokorzenia samego siebie, jakiego doznaje tylko pijak.

(cdn.)

Krzyżówka nr 3 z szyfrem

Poziomo: 8. masowe wystąpienie np. 1-majowe, 9. Piotr, 10. babiloński bóg księżycy, 11. jednostka natężenia elektrycznego, 12. kreślarski płyn, 14. biblijny denar, 16. ma dwie strony, 17. słynna rola Mariona Brando, 20. moc, 21. sklejka, 23. nowela Prusa, 26. rosyjska zupa rybna, 27. krasnorost, 29. trutki, 31. rosyjski Jan, 34. uroczyste przyjęcie, 35. scena cyrkowa, 36. gatunek

	1		2		
8					
11			12		
				16	
20					
			21		22
27		28			
31	32		33		34
			36		
37					38

wierzy, 37. między naleśnikiem i racuchem, 38. czasy faraonów, filozofów greckich i cesarzy rzymskich.

Pionowo: 1. pieśń z czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej, 2. raczej brzydka sprawa, 3. młodszy pracownik naukowy, 4. rozpryskujący się w górze pocisk artyleryjski, 5. przynosi honor, 6. snur, 7. hokejowe przyrządy, 12. państwo na równiku, 15. jednostka ilości informacji, 18. żaglowiec o dwu lub więcej masztach ze skośnym ożaglowaniem, 19. bezcelność ale jeszcze większa, 22. ostra różnica, przeciwstawienie, 24. belka nad oknem lub drzwiami, 25. lampart, 28. Stany Zjednoczone, 29. historyczna miejscowość na Krymie, 32. dziłki krewniak psa, 33. ...Andryc.

SZYFR

B1, L5, A12, N12, H14, D14 / B3, 14, F4, 16, B10, D12, B6, F14, J6, J9 (...), F16, B14, D4 / B11, F13, N6, D9 / A7, N14, L1 / H1, B16, B2, N1, C5, A14, B7, E4, G4 / H3, K9, E15 / H10, L16, M4, K14, I3, D7 E2, L17 / K15, H13, D11, L9 / K11, M16, F12, D15, D1, M5, N3, M11, N4, B12 / J11, H4, C12, G14, C7 / J8, I17, A3 / F10, G16, M13, O9, K3 / L3, C12, J3, J1, H8, N10, D2, M2, L15, C16, G1, A9, M2 //

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 1 Z SZYFREM

Poziomo: garść, boleń, marmur, oddech, rodzic, akustyk, kadr, Zimowir, Krzyżan, obóz, Bawaria, wesołek, Alpy, grafka, duszenie, brak, Isabela, wytwór, Marian, Irokez, Jalta, owelek.

Pionowo: Zmory średniówka, Grochowiak, Rudzki, Okusz, etat, Charków, sukienka atotyda rzeczownik, Zółtkowski, Złobinek, Alabama, Iperył, ukwiał, Mrozw Ajzia.

Szyfr: Przecież dla nas produktem końcowym jest premia, nie jakieś tam domy dla kogoś.

Roman Bratny
Zróża na smiew

Nagrodę otrzymuje Artur Nowosad, ul. M. Reja 5, 22-300 Krasnostaw.

Tadeusz Fangrat FRASZKI

NA ZAKRĘTACH HISTORII

Co wiraż,
to miraż.

„SEN NOCY LETNIEJ”

Wieczny sen
naszych scen.

STAROŚĆ

Czas pobożnych życzeń
i ograniczeń.

LAPÓWKARZ

Drań

od brań.

WYJAŚNIENIE

Nie garnę się do żłobów,
lecz do ich zasobów.

SKAZANIEC

Dano mu najwyższą stawkę
i skazano na odstawkę.

KORYTA

Koryta czynią
człowieka — świnią.

AZYL

Zdobyl prawo azylu
na beczce trotylu.

Archiwum mistrzów anegdoty

Początkująca śpiewaczka wykonywała na koncercie wielką arię Massenet w obecności kompozytora, Massenet. Po ukończeniu jej podbiegła zdenerwowana do autora:

— Drżałam, mistrzu, wiedząc, że pan jest na sali. Musiał mieć pan na początku porządnego stracha...

— Nie drogie dziecko — odpisał spokojnie Massenet — ani na początku, ani w środku, ani też na końcu. Po prostu zatkalem sobie uszy.

Swego czasu poproszono Dumasa o odczytanie jednej z jego najnowszych sztuk. Ulegając prośbom obecnych pisarzy ustąpił, ale jednocześnie zastrzegł, że będzie czytał dramat innego twórcy.

— Dlaczego nie swój? — zapytali zgromadzeni.

— W takim przypadku — odpowiedział Dumas — mam zawsze zapewnione powodzenie. Jeżeli sztuka spodoba się, cieszyć się będę jako deklamator, jeżeli nie — radować się będę jako kolega po fachu.

Pewien młody kompozytor grał przed Berliozem swoje utwory. Po skończeniu gry mistrz powiedział:

— Muszę być z panem zupełnie szczerzy. Nie tylko nie posiada pan talentu, ale nie spostrzegam w panu żadnych zadatków na przyszłość. Proszę sobie obrać inny zawód.

Młodzieniec odchodzi rozpaczoony, gdy nagle Berlioz odwołuje go ze schodów i mówi:

— Podtrzymuję swój sąd, ale muszę wyznać, że kiedy byłem w pana wieku, powiedziałano mi to samo.

Wyszperal: Ryszard Dunin